CHWILE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

FELIX BRODOWSKI

CHWILE

FANTAZYE, NOWELE, OBRAZY NATURY

Z PRZEDMOWĄ

STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 14 Января 1903 года.

PRZEDMOWA.

Zbiorek ten powstał z niezwykle czułej wrażliwości i niezwykle też różniczkującego się pod jej działaniem refleksyjnego myślenia. Ośrodek czucia w Autorze ma swój własny stosunek do świata i życia. W nowelach nie widać samych zjawisk w uzewnętrzających się dla oka i dla myśli kształtach. Nic się w nich nie dzieje pomiędzy ludźmi; niema w nich żadnych wypadków, bo niema i namiętności. Przedmiotem twórczości są raczej ogólne, od istot odrywane, ze zjawisk wyłuszczane formy bytu człowieczego w naturze przestrzeniowej i ustawicznie przez człowieka zbiorowego dotwarzanej — społecznej. W formach tych toną szczegóły, jednostki, istoty, ludzie, wypadki; zostaje tylko człowiek w ruchu jako typ. A owo myśląca wrażliwość Autora wobec tego typu niepo-

koi się, burzy, cierpi, zapada w zadumę, tęsknotę i ból nad światem i, jak współdziałać musiała przy wytwarzaniu się charakteru człowieka, tak tu, w tej literackiej działalności, wręcz już daje wyznacznik dla indywidualności pisarza.

Autor rzeczywiście przemyślał, przemarzył i przecierpiał to, co w swych nowelach napisał. Są one owocem, dla niego samego cierpkim, z drzewa jego życia — cierpkim może i dla innych, ale nie trującym. Wyhodowało go nieszczęście, najpowszechniejszy i może najlepszy hodowca takiego idealizmu, jakim od pierwszej do ostatniej karty promienieje ten zbiorek. Jeżeli we wszelkiej sztuce, według porobionych dla niej przez teoryę przegródek, najwięcej zawsze, choć w różnych stopniach natężenia, znaczy indywidualność, w sztuce tych nowel wszystko znaczył idealizm-marzycielski, ale i rozumujący, czysty, podniosły. «Na progu», bezinteresownością wobec własnego swego *ja* szlachetny, i przez tę szlachetność właśnie na nieszczęście skazany. Określa on dość wyraźnie indywidualność pisarza jeśli nią samą już nie jest.

W tym brutalnie od zewnętrznej rzeczy-

wistości odpychanym idealizmie niema tego, co banalność pessymizmem nazywa: niema nienawiści do ludzi, zrozpaczenia o człowieku i obojętności na los świata. Owszem, przez gruby pokład wątpień przebija się, choć mozolnie, na wierzch dodatnia zasada życia: pracuj, kochaj i cierp; serce stoi otworem dla ludzi. «Beznadziejność grobu nie zwalnia za życia od pełnienia obowiązków człowieka». «U końca», słowo pełne smutku, jest zarazem i słowem trzeźwiącem z marzeń bolesnych siły. Marzy Autor dla człowieka o dobroci jako darze, talencie, typie życia, a miłość, nie tę naturalną, powszechną, a bezwiedną, ale oderwaną, duchową, do której potrzeba wolnej świadomości i świadomego wyboru, kształtuje w ideał gorąco odczuty. O takiej miłości mówi: «Słodko jest kochać rzeczy, których sam dźwięk imienia sercom szybciej uderzać każe. Szczęśliwi, których miłość przelana w czyn spłonęła w ogniu ofiarnym na cześć słońca! Myśmy tylko z daleka przy stosie tym serca nasze grzeli». W noweli znowu «Na progu» wspaniale zarysowuje się macierzyństwo duchowe.

Charakter twórczości w nowelach jest nawskróś subjektywnym. Gdzie Autor nie wy-

stępuje sam jako subjekt swych odczuwań, dociekań i marzeń, tam wciela się w osoby do funkcyi tych powołane. On sam jest i tym chorym, który biegnie po kroplę wody dla konającego towarzysza z pod chorągwi szpitalnej («Szpital»); i tem chłopięciem wiejskiem, co woła: «Widziałem ludzi, którzy zabijają to, co wielkie» («Bór»); i tym młodzieńcem, który od matki dostaje ubłogosławienie na miłość, a od starego wieszcza krzepiące słowo wiary («Na progu»); i tym starym Netelem, w którego domu «płacz ludzki nie był nigdy skargą skrzywdzonych» («Strącone liście»), a który umiera z modlitwą za wnuka o czyste dla niego serce; i tym wreszcie podróżnym z legendy ludowej, który dyament znaleziony oddaje, nie rzeszom na spożycie, ale w świątyńce wiejskiej Chrystusowi na chwałę («Dyament»). Ludzie w tym zbiorku to tylko uosabiane marzenia i żałość samego Autora. Wszystkie nowele pod rozmaitemi postaciami odpowiadają na pytanie: dlaczego ten świat jest tak złym i nieszczęśliwym? Ten odwieczny jęk, z którego narodziło się tyle filozofii praktycznych i tyle religii — jęk, wtórujący tragicznie wesołym okrzykom mrowiska ludzkiego, daje zasadniczy ton zbiorkowi.

Marzenie o ludziach ucieka chętnie od ludzi. Stąd, przy marzycielskim charakterze Autora, ta jego ciągła samotność i ta niezwykłość widowni: szpital, cmentarz, jeszcze cmentarz, las, jeszcze las, pola i błonia: oto sceny dla jego myślącej wrażliwości. W stanie ciągłej poetycznej obserwacyi wewnętrznej myśl rwie się do rozmowy z przestworem. Człowiek z myślą nie może być nigdy sam. Natura chętnie się dla niego ożywia, marzeniem się jego przejmuje, bierze w siebie z człowieka nadmiar jego życia. Animizm w tych nowelkach jest doniosłym czynnikiem poetyczności.

Przy danym nastroju twórczości niewiele miejsca zostać mogło na sprawę w noweli jako rodzaju najpowszechniejszą i zarazem najpożądańszą — na miłość normalną, etatową, zarówno dla margrabiny jak i dla chłopki zrozumiałą i drogą. W zbiorku tym niema jej wcale. Nikt tu nikogo nie kocha, za nikim nie szaleje i nie przepada i nikogo też nie zdradza. «Wiosna» jest elegią dusz, które się kochały bez szczęścia, a gdy zgrzybiały Netel przypomina sobie falującą we śnie pierś Estery, którą dawno już, bardzo dawno, pochłonął grób, we wspomnieniu tem jest tylko

majestat żałości — nic więcej («Strącone liście»). Ta nieobecność miłości w nowelach wyciska na nich piętno oryginalne. Odważnym być dziś potrzeba, aby dać cały tom bez miłości. Dotychczas taką odwagę mieli tylko: Świętochowski, Konopnicka i Orzeszkowa.

Stanisław Krzemiński.

Warszawa dnia 29 sierpnia 1902 r.

W NOCY

majestat żałości — nic więcej («Strącone liście»). Ta nieobecność miłości w nowelach wyciska na nich piętno oryginalne. Odważnym być dziś potrzeba, aby dać cały tom bez miłości. Dotychczas taką odwagę mieli tylko: Świętochowski, Konopnicka i Orzeszkowa.

Stanisław Krzemiński.

Warszawa dnia 29 sierpnia 1902 r.

Szpital nauczył mnie — a sądzę, że każdego nauczyć potrafi — nie lękać się śmierci. Przyznajcie, nerwowi panowie, że dla pozbycia się tej obawy warto skazać się na spożywanie kleiku szpitalnego w ciągu paru tygodni. Skutek zaś powinien być niezawodny, z wyjątkiem bowiem pola bitwy, śmierć nigdzie nie jest tak czynną, jak w szpitalu, nigdzie więc znaleźć nie można tyle, co tu, sposobności do oswojenia się z nią.

Jak umierają ludzie, którzy spotykają się z kulą, odłamkiem granatu lub ostrzem bagnetu — nie wiem; w szpitalu zaś wiem, iż umierają z nieporównaną prostotą i skromnością. Zdaje mi się, że dwa te wyrazy najlepiej malują rzecz, ale dodam jeszcze, że jest w tej śmierci cichość jakaś niezmierna, posłuszeństwo jakieś ogromne, bezoporne. Ludzie umierając, zdają się słuchać czyjejś komendy i — co dziwne — spełniają ją skwapliwie,

podobni do szkolników, których z dusznej izby wypędza pożądany odgłos dzwonka. Tylko że tu nikt tornistrów swych nie ładuje, przeciwnie, zostawia się wszystko, nie wyłączając — cielesnej powłoki. Dziwne zapomnienie! — świadczące o niezwykłym pośpiechu i wielkiej uciesze, iż... skończyła się trudna lekcya.

Szpitalnicy umierają z uległością potulnych dzieci lub z zadowoleniem ciężko spracowanych bydląt, którym uśmiecha się wypoczynek bodaj na zgniłej słomie. Umierają, nie starając się nikogo zainteresować swoją osobą, przeciwnie, zdradzają w owej chwili jakąś wielką wstydliwość; zdawałoby się, iż każdy pragnie odejść tak, żeby nikt tego nie widział.

Karność, panująca w szpitalu, rozciąga się i na umierających. Mówię bez ironii, gdyż uważam to za dobre. Do szpitala nie przychodzi się na bałamuctwa, masz umrzeć lub wyjść zdrowym, w żadnym razie nie powinieneś marnotrawić czasu i zajmować miejsca należnego innemu, bo w każdej chwili jest mnóstwo ludzi, którym pilno umrzeć i takich, którym pilno wyzdrowieć. Gdyby

społeczność szpitalna roztkliwiała się z okazyi każdego nieboszczyka, to w domu jej powstałaby demoralizująca atmosfera, chorzy traciliby hart, umieraliby z samej bojaźni śmierci. Tak zaś, jak jest, jeśli nie zawsze zdobywają się na jej pogardę, to przynajmniej zyskują tępą obojętność. Gdy tracisz pierwszego sąsiada — ogarnia cię lęk, za drugim, trzecim — powiadasz sobie: mniejsza o to — i myślisz już tylko o tem, żeby samemu się nie skompromitować. Pragniesz wysunąć się niespostrzeżonym.

Gdy jednak, rzucony na szpitalne łóżko, przestałeś już drżeć przed myślą, że jakaś niewidzialna ręka może cię niebawem wyplątać z węzła głupstw, zwanego życiem, nie znaczy to jeszcze, iżby dusza twoja skamieniała. Bo patrz na tę łzę, co sączy się z otwartego oka twego sąsiada i spływa na jego milczące, zaciśnięte usta... Ach, przez wszystkich bogów, on czegoś żałuje... Jakżeż okropną jest ta łza, której już żaden wysiłek zatrzymać nie mógł, której ten biedak nie potrafi ukryć ani przed sąsiadem, ani przed zakonnicą, ani przed posługaczem!

Szpital uczy pogardzać śmiercią — dla siebie, ale nie zabija współczucia...

* * *

Pomimo wczesnej godziny wieczoru zimowego szpital pogrążony jest w uśpieniu, przynajmniej pozornie. Za jego murami miasto wre ruchem i gwarem, w obrębie ich — życie przyczaiło się już z nastąpieniem mroku.

Zakonnice odmawiają teraz wieczorne modlitwy. Posługacze śpią. Na podłodze, pośrodku sali, każdy z nich rozciągnął swe posłanie i zaledwie dotknąwszy głową poduszki, usnął snem zdrowego a zmęczonego człowieka.

Światła przyciemnione. Chorzy nie prowadzą już rozmów, każdy usiłuje zasnąć, a gdy mu się to nie udaje — milczy, skupia się w samym sobie, rozmyśla i otwartem okiem błądzi po zakątkach sali, którą głęboki pomrok zalega. W pomroku tym daje się jednak słyszeć cichy i nieustanny gwar, wyjawiający obecność wielu ludzi i nieucichający przez noc całą. To ktoś jęknie lub zakaszle, to ocknie się z przykrego snu i wypowie kilka oderwanych, niezrozumiałych słów... Co

mówił, do kogo? Nikt nie pyta i nikt mu nie odpowiada. To ktoś zacznie przywoływać posługacza i powtarza długo swe wołanie przyciszonym głosem, aby nie budzić śpiących. To czyjeś kaszlnięcie stanie się zaraźliwem i wszyscy zaczynają kaszlać, wydobywając najrozmaitsze, czasem przykre i dzikie dźwięki. To jedna z tablic blaszanych, nad łóżkiem zawieszonych, poruszy się i wyda chrzęst suchy...

Echa tych dźwięków nie przedostają się do korytarzy, które są oświetlone, puste i milczące.

Po obu stronach ich ciągną się szeregi nisz, z nich jedne zawierają drzwi lub okna, wiele zaś jest pustych. Martwy spokój tu panuje, niekiedy tylko przewiew powietrza zakołysze płomieniem lampy, a ten poruszy cienie i gdy jedne z nich wpełzają wówczas do pustych nisz — inne poczynają się ślizgać po białych arkadach sufitu. Rzadko kiedy po miękkim chodniku przemknie posługacz z kubkiem w ręku, dążąc po wodę do kramu, umieszczonego w bocznym korytarzyku, a gdy odgłos jego kroków ucichnie i postać zniknie za załomem ściany, znów pustka dziwna, nie-

pokojąca obejmuje te długie, niekończące się, po wiele razy załamujące się korytarze.

W końcu jednego z nich znajdują się drzwi białe, nad niemi nr. 5 i tabliczka z napisem: «wewnętrzne — odosobnieni».

W sali tej, wązkiej a długiej, dwa kinkiety o mocno przyćmionych płomieniach prawie wcale nie rozwidniają ciemności. Są to niby czerwone ogniki zatopione w mroku. Długo z nim oswajać się trzeba, nim spostrzeżesz, iż w szeregu łóżek dwa tylko — obok siebie w jednym narożniku stojące — są zajęte.

Na jednem z nich spoczywa mężczyzna, na drugiem — chłopiec-dziecko. Trzecią żyjącą istotą w tej mrocznej przestrzeni jest posługacz, śpiący w kąciku na materacu, rozesłanym za łóżkiem chłopca.

Ciszę mącą tylko oddechy, oddech mężczyzny jest wolny i niegłośny, dziecka — szybki, świszczący, posługacza — miarowy i chrapliwy.

Trzy te istoty pozornie tylko spoczywają blizko siebie, w istocie znajdują się one bezgranicznie daleko jedna od drugiej. Nie widzą się wzajemnie, nie słyszą, nic o sobie nie wiedzą.

Skąd przybywa i dokąd dąży ten mężczy-

zna? On sam nie umie na to odpowiedzieć. Gdy spojrzy za siebie, widzi tylko przestrzeń szarą i mętną taką, jaką step ukazuje zmierzchem lub w czasie poczynającego się brzasku zimowego; nic tam rozpoznać nie można, ani nieba, ani ziemi, przedmiotów żadnych, najmniejszego śladu drogi. Gdy zaś śladów tych zaczyna szukać uporczywie, powtarzając sobie, że przecież zaginąć nie mogły, to spostrzega wysuwające się z tej bezbrzeżnej szarzyzny ciemne i chłodne w dotknięciu macki jakichś nad wyraz potwornych istot — odwraca się wówczas z odrazą i niechęcią i spogląda przed siebie; ale tu napotyka ustawicznie jedną i tę samą twardą, czarną ścianę. Jest on nie tylko zupełnie samotnym, ale nadto zatracił przeświadczenie, żeby gdziekolwiek istniały podobne doń istoty. Jest on jakąś zgasłą gwiazdą, rzuconą w tak odległą część wszechświata, iż stamtąd ani jednego z istniejących w nim słońc nie widać.

Chłopiec przebywa w innym świecie.

Ileż to dni i ileż nocy trwa ten wściekły, okropny ruch bez chwili spoczynku! Jak on się zadyszał, jak niezmiernie jest zmęczony, a jednak ciągle coś nim miota, popycha go, przymusza do biegu. I biegnie sam lub z mnó-

stwem innych ludzi, którzy krzyczą i on krzyczeć musi, choć piersi go bolą i głos mu w gardle więznie. Czasem szybkość tego biegu staje się tak gwałtowną, iż ludzie rozpadają się na kawałki, a wtedy osobno lecą głowy, osobno ręce, nogi... Wtedy porywa go wicher tak szalony, że już nic nie jest w stanie podążyć za nim, tylko świst, huk, łomotanie rozlega się dokoła...

W tym samym czasie posługacz najspokojniej siedzi sobie w ojcowskiej chacie, na ławie i ze smakiem zajada z miski kaszę, porządnie okraszoną. «Podła służba w szpitalu — skarży się przed matką — ale jeszczeby człowiek wycierpiał, żeby nie jadło tamtejsze. Bardzo obrzydliwe...» I nadstawia miskę po nową porcyę tej wybornej kaszy.

— Panie Szulc, panie Szulc... panie Szulc — szepcze drżący, rwący się głos.

Rzecz dziwna, iż głos ten choć cichy był, wpadł jednak w ucho ucztującego posługacza. Ocknął się on nagle i przysiadłszy na posłaniu, popatrzył mętnemi ze snu oczami na przykręcony płomień lampy.

— Panie Szulc, panie Szulc.

Posługacz wstał i podszedł do chłopca.

— Czego chcesz? — zapytał dobitnie, nachyliwszy się nad jego łóżkiem.

— To pan, panie Szulc?

— Nie. Mów, czego chcesz.

— Oh, panie Szulc, jestem... jestem bardzo słaby. Daj mi pan... wody, panie Szulc. Mówiąc nie roztwierał powiek, a głos jego dobywał się z niezmiernym trudem, jakby z przymusu.

— Niema tu żadnego Szulca. Napij się. Chłopiec zaczerpnął ustami kilka łyków wody z kubka. Zamilkł potem, ale usta jego poruszały się wciąż, jakby daremnie usiłując wyraz jakiś pochwycić. Szulc uciekał już od niego z niewysłowioną szybkością, a on wszystkie siły natężał, aby go dogonić.

Posługacz wrócił na swe posłanie i rzucił się na nie ciężko, z wielkiem zadowoleniem. Kołdrę naciągnął na głowę — ot jak teraz zaśnie, to niech pioruny trzaskają.

Sąsiad chłopca otworzył w tej chwili oczy. Głosy rozlegające się w pobliżu wyprowadziły go z ciężkiej, odrętwiałej senności. Zdziwiły go z początku wielce, a potem żywą przyjemność sprawiać mu zaczęły. Czyż to nie upłynęły już miesiące, może lata od czasu, jak ostatni raz słyszał głos człowieka.

Jak to miło! Szara i mętna przestrzeń natychmiast odsunęła się odeń daleko, przed sobą nie czuje już również ściany, a nawet widzi — tak, wyraźnie widzi światło. Przygląda się ciekawie temu czerwonemu ognikowi i decyduje w myśli, iż jest to dalekie ognisko, rozpalone na polu. Stamtąd to dochodzą go głosy, gdyż przy ognisku są zapewne ludzie. Radby podejść bliżej i posłuchać, o czem mówią, ale jest tak słaby... ognik gaśnie pod powiekami, które mu opadają, dokoła znów panuje milczenie.

Po chwili usłyszał wyraźnie, iż od strony ogniska ktoś zbliża się ku niemu, wołając: panie Szulc, panie Szulc.

Zdumienie go ogarnęło, nie otworzył jednak oczu, gdyż pomyślał: to nie moje nazwisko.

Głos nie ucichał, odzywa się bliżej lub dalej, jakby wiatr pochwytywał to wołanie i niósł je nad polem, po nocy. A żałosne ono było, żałosne ogromnie i wyraźnie — dziecinne.

Człowiek, który je słyszał, zaczął drżeć.

— Panie Szulc, wody... odrobinkę wody.

Słowa te tak wyraźnie zadźwięczały w uszach ego, iż się wstrząsnął. Wołanie o wodę wśród

pustek i ciemności nocy było czemś tak okropnem. Z lękiem niewymownym otworzył oczy — i nikogo nie ujrzał. Ognisko płonęło w tem samem miejscu. Dokoła była pustka.

Z odrazą przymknął powieki. Szara przestrzeń z rojowiskiem wstrętnych istot znów się doń przybliżyła — zdawało mu się, że gorączka powraca. To też gdy znów ten sam głos się odezwał, on tylko zaciął usta i postanowił słuchać spokojnie, poddawszy się gorączce.

Udawało mu się to z początku, lecz po niejakim czasie znów z całą jasnością wystawił sobie dziecko jakieś zabłąkane w ciemności i wołające na niego obcem jakiemś nazwiskiem. Dziecko to zabiega koło niego ze wszystkich stron, usiłuje zajrzeć mu do twarzy, lecz w ciemności poznać go nie może i nie śmie rączką uchwycić go za ubranie. Żałość niezmierna ścisnęła mu gardło. Z wysiłkiem wielkim podniósł głowę i szeroko rozwartemi oczami rozejrzał się dokoła.

Ah, jak trudno jest zrozumieć to wszystko! Ani pola, ani ogniska, ani zabłąkanego dziecka — niema. Tak mroczno w tej sali, w kącie odległym płonie przyćmiona lampka—

ona to wydawała mu się ogniskiem. Jednak tu jest ktoś żyjący i wzrok jego z osłupieniem spoczął na jakiejś drobnej istotce, leżącej na sąsiedniem łóżku, pod kołdrą skulonej, niewyraźnej w mroku.

Nie odrywał od niej oka. Rozróżniał dość wyraźnie małą głowinę, która zsunęła się na sam brzeg poduszki i z pod kołdry wysuniętą, za krawędzią łóżka zwisającą ręką małą, suchą.

Nagle nastawił uszu, znajomy głos odezwał się znowu.

— Marcel, Marcel... ty... nie dotykaj garnka... Ah, pić — panie Szulc.

Nie było wątpliwości, ten sam głos rozbrzmiewał poprzednio, kiedyś tam (wydało mu się, że *tamto* było już dawno) w ciemności, na polu.

Wzruszenie ogromne poczęło zalewać pierś człowieka. Wsparł się on z trudem na łokciu i wychyliwszy się nieco za krawędź łóżka, nasłuchiwał z bolesnem jakiemś naprężeniem w całej swej istocie.

— Wody—wody—wody—szeptały jednostajnie i żałośnie niewidzialne w mroku usta.

Zrozumiał! Oh, teraz wszystko było jasne i czemuż to tak długo nie mógł zrozumieć

takiej prostej rzeczy, iż trzeba jak najprędzej — jaknajprędzej napoić to biedactwo. Pewnym ruchem sięgnął po kubek, stojący na stoliku, który przegradzał łóżka. Kubek był pusty.

— Wody, wody...

Niepokój jego się zwiększał. Podniósł się i przysiadł na łóżku, starając się przeniknąć wzrokiem do ciemnych zakątków sali. Chciał kogoś przywołać.

— Czy jest tu kto?

Głos, jaki dobył, zdławiony był i niedźwięczny, a posługacz spał twardo. Była to ta godzina nocy, kiedy sen zdrowych a w dodatku zmęczonych ludzi staje się kamiennym.

— Wody, wody...

Wzruszenie jego dosięgło miary najwyższej. Dłużej wahać się niepodobna, woda być musi, on sam pójdzie po nią. Gdyby tego nie uczynił, zabiłby go ten szept cichy, a tak okrutny.

I począł wykonywać swe przedsięwzięcie. Wysunął nogi za krawędź łóżka, postawił je na podłodze, zarzucił szafrok na siebie, podniósł się... Nogi ugięły się pod nim raptownie; oparł ręce na stoliku — ręce zaczęły

drżeć, drżał cały, powieki mu się przymknęły i ogniste kręgi pod niemi latać zaczęły... Ah, za słaby jest, za słaby — nie pójdzie!

— Wody, wody...

Pójdzie. Już ma kubek w ręku, już uczynił krok jeden, drugi. Ręką się trzyma za poręcz łóżka, pochwycił już poręcz drugiego, słania się, lecz postępuje... Już się opiera o trzecie łóżko.

Ah, oh! Czemuż to lampki gasną nagle, czemuż go taka nieprzenikniona ciemność ogarnia. Upadł na puste łóżko i czoło wsparł na zimnej, żelaznej poręczy. Wicher jakichś porozrywanych i splątanych myśli z hukiem przelatywał przez biedną, znękaną głowę jego, a z tym wichrem myśl najważniejsza — odleciała. Dokąd on dąży, poco? Zapomniał, zapomniał...

— Wody, wody...

Po wodę!... Porwał się i jak zwierzę ranione wlókł swe ciało z niepojętym wysiłkiem — byle dalej, byle dalej. Oto już drzwi blizko, oto dotarł już do korytarza. Tam jasne światło oślepia go na chwilę; lecz zarazem wlewa weń nowe siły. Posuwa się opierając się o ścianę, a wtem — Boże, jakżeś dobry! — kran, kran o parę kroków od niego...

Drżącą ręką odkręcił kurek i napełnił naczynie. A gdy już trzyma w ręku ten upragniony, pełny wody kubek, taka radość go ogarnia, takie szczęście bezgraniczne, iż... ręka drgnęła, kubek się przechylił, woda chlusnęła na podłogę, a on obsuwać się zaczął po ścianie, coraz niżej, niżej.

Upadał wolno, ale zdawało mu się, że z ogromną szybkością stacza się do przepaści, a jedną tylko myśl unosił z sobą:

— Nie zaniosę mu wody!

Dwie silne ręce uchwyciły go w chwili, gdy dotknąć miał dna przepaści. Rozchylił powieki — głowa jego spoczywała na czyjemś ramieniu, a tuż nad twarzą kołysały się wielkie skrzydła białego czepca.

Wtedy ręką wskazał zakonnicy kubek leżący na podłodze, westnął — i omdlał.

...Dzień był, gdy myśl człowieka tego znowu się ocknęła. Przytomność wróciła mu zaraz, gdy otworzył oczy, zaraz też dostrzegł zakonnicę klęczącą przed łóżkiem, na którem pod szarą kołdrą skulony leżał chłopiec — cichy — nieruchomy...

[illegible]

jasne światło oślepia go [illegible]
zeni wlewa weń nowe siły. Podnosi się opie-
rając się o ścianę, a [illegible] — Boże, jakżeś do-
był — kraj, kraj o parę kroków od niego...

BÓR

FANTAZYA

Było chłopię małe snem spowite.

Był bór wielki śpiący, szarą mgłą nocy zakryty.

Wstało słońce i chłopca zbudziło, w powieki go całując.

Wstało słońce i nad lasem mgły inne — ozłocone, białe, błękitne zawiesiło.

Zobaczył chłopiec, że bór jest w czemś schowany i począł narzekać:

— A może boru już niema za tą płachtą! Wielka byłaby szkoda, bo piękniejszy jest, niż ogród przy chacie. Pójdę zobaczyć.

I pobiegł co tchu, a przez drogę rosy mu liczko umyły, a wiatr na niem rumieńce rozdmuchał, a słońce w oczkach jego się przejrzało, niby w krynicy błękitnej, ciemnej na dnie — i drogę przed nim wyzłociło — drogę ku mgłom wiodącą — do boru.

Było słońce to nizko, jakby po ziemi toczyć się miało, i chłopiec przeciw niemu biegnąc, oczu nie mrużył, a w źrenicę sło-

neczną spoglądał prosto — w źrenicę złotą, co przez mgły różowe migotała. I znowu narzekał przed sobą:

— A może ono dziś w górę nie poleci! Wielka byłaby szkoda, bo w górze ma jasność ogromną, aż mi oczy od niej ślepną, a przed oczami kręgi latają.

Z daleka bór zapachniał i chłody wilgotne przeciw chłopcu słał, by mu czoło uznojone otarły. A słońce pękiem strzał złotych rozdarło płachty mgliste, wiszące na drzewach.

Weszło chłopię rozradowane pod sklepienia ze snu jeszcze nieruchome i ciche, a w cichości łzy roniące brylantowe. Pod nogi mu łzy te spadały, po mchach i trawach się rozsypywały — po roślinkach snem stulonych. Jedna z wysoka upadła, pod listek się zatoczyła i zabłysła krwawo na jagodzie wielkiej, czerwonej.

Zerwał chłopiec jagodę i cieszył się, że wielka, a potem idąc, za małemi już się nie rozglądał, tylko wielkich wypatrywał, na których iskrzyły się rosy brylantowe. Takie gęsto nie rosły, więc odchodził coraz dalej i dalej, aż bór go otoczył ze stron wszystkich — bór, co dla chłopca małego był niby świat niezmierzony, niekończący się.

Lęku jednak nie czuł, bo oto słońce nie po ziemi się toczyło, ale nad nim pływało, w głębi bezchmurnej i między szczytami drzew przepływając, śledziło go okiem wielkiem, coraz goręcej i jaśniej płynącem.

Ze spojrzeń tych upał spływał i falą ciężką nad lasem się przelewał. A wiatr kędyś w jar daleki zapadł, tylko wietrzyki małe chichotały, czepiając się gałązek wysokich. Sosny stały nieruchome, dech w sobie zaparłszy, a paprocie żółknące trzymały nad ziemią zasłonę z liści szerokich utkaną, wzorzystą. Pod nią ziemia chłodem oddychała.

Szedł chłopiec po wstędze zielonej, między paprocią się snującej i leszczyną rozłożystą, szedł i wypatrywał, które sosny wyżej sięgają, a przed najwyższą zatrzymał się i wzrok na jej szczycie wieszając, myślał:

— Gdy będzie południe, zobaczę słońce na wierzchu tej sosny. Ono na najwyższej odpoczywa.

Przyległ w mchu niedaleko drzewa i czekał, rychło-li słońce tam na szczycie siądzie. Wtem posłyszał szmery jakieś, napływające do lasu, a niebawem zobaczył gromadę ptaków różnych, które zlatywały z wielu stron.

Rozsiadły ptaki te po drzewach, porywając się co chwila do lotu, krzycząc i nawołując się. Niespokojne były, trwożne.

Patrzał chłopiec w górę, szukając coby je tak trwożyło i zdumiał się wielce, bo oto z tej głębi, gdzie słońce samo jedno pływało, spadał ptak duży — na bór spadał z błękitów.

Ogromnym wydał mu się ptak ten na niebie i wspaniałym, gdy tak od słońca spadał, rozpostarłszy wielkie skrzydła.

Rozsypała się rzesza ptaków drobnych, pierzchając przed tym wielkim, i zebrała się w innej stronie, a gdy był nizko i nad borem leciał tak wolno i równo, jakby płynął, skrzydłem, niby wiosłem, zawadzając o szczyty sosen, one wróciły i leciały za nim z krzykiem, ale nie odpowiadał im, tylko czasem większe fale powietrza skrzydłami zagarniał lub mocniej o gałęzie uderzał, sypiąc z nich igły zdarte.

Śledził chłopiec lot ptaka i myślał, że pewnie na tej sośnie spocznie, gdzie słońce siadało. A on i jej szczyt trącił i minął, jakby mu za lichą była; w dół opadł, ku sośnie leciał nędznej, nizkiej, obumarłej pod cieniem, którym ją wysokie siostrzyce na-

kryły. Na wierzchołku suchym stanął, szponami go objąwszy, skrzydła złożył i tak nieruchomy pozostał, jakby do drzewa przyrósł i zamarł.

Nad nim w kole stały szczyty drzew wielkich i chwiejąc się, pokłon oddawały, czy jemu, czy tej z sosen najlichszej.

I latały nad nim ptaki małe, ale umęczyły się krzykiem i rozpierzchły, a w borze znów ucichło.

Patrzył chłopiec na ptaka, napatrzyć się nie mogąc i rozmyślając:

— Niema wspanialszego! Co on widział ten ptak? Może słońce z blizka, może cały świat. A teraz nikogo i nic już nie zobaczy, bo oślepł pewnie od jasności.

Wtem zbliżył się człowiek jakiś, a ujrzawszy ptaka, stanął, przyjrzał mu się i ręką zamachnął, aby go zgonić i w locie zabić, bo wstyd mu było strzelać do siedzącego nizko.

Ale ten nie widział go i nie słyszał.

Wymierzył człowiek doń i strzelił, a zatrwożył się bardzo w tej chwili, bo nie ptak śmiercią uderzony, zajęczał, ale pierś ludzka, gdzieś obok, jęknęła żałośnie.

Ptak skrzydła rozpostarł do połowy, jakby

do lotu zerwać się miał, ale pochylił się tylko raz i drugi, niby pokłon oddając słońcu i głębi błękitnej, gorejącej, skąd zleciał; pochylił się raz jeszcze, niby pokłon składając przed borem, który go przyjął, a potem zawisł na wierzchołku, albowiem szpony ostre wpiły się weń mocno i nie puszczały. Odłamał się suchy wierzch, z chrzęstem posypały się gałęzie łamane i ptak spadł. A nie miał już wzlecieć w błękity słoneczne.

Nad nim chłopiec mały jęczał, złorzecząc człowiekowi, który tu przyszedł.

— Czemuś to uczynił? Czy znasz tego ptaka?

Odrzekł:

— Nie znam, ale że był wielki, więc szkodę mógł czynić, dlategom go zabił.

Zatrwożył się chłopiec, spoglądając w oczy tego człowieka i na ręce jego, z których wypadła śmierć dla wielkiego ptaka i nie mówił już nic, tylko odbiegł z tego miejsca.

A gdy znów stanął pod sosną najwyższą zatrzymał się i myślał:

— Czemu ptak na tem drzewie nie usiadł, byłby uszedł śmierci!

Wtem zbliżyli się ludzie obcy i mówili między sobą, wskazując na drzewo:

— To zetniemy, bo najwyższe.

Przeraził się chłopiec niezmiernie i zaczął uciekać, ile tchu mu starczyło. A lęk drogę przed nim wydłużał, a smutek twarz mu wybielił, a łzy mu źreniczki mroczyły.

Wypadł z lasu i rozejrzał się po niebie, ale nigdzie nie mógł słońca dostrzedz. Za siebie spojrzał, a ono na ziemię spadło i toczyło się krwawe, omglone, bez jasności, aż zatoczyło się za czarną krawędź ziemi.

Zapłakał chłopiec, wołając:

— Teraz słońce nie pokaże się wcale, bo widziało dziś ludzi, którzy zabijają to, co wielkie.

Rezełkany, żałosny wrócił do domu.

Usnął bór wielki. Mgły nocy szare go zakryły.

Usnęło chłopię małe. Żal odeń nie odlatywał i na ustach sennych wciąż jedną skargę budził:

— Widziałem ludzi, którzy zabijają to, co wielkie.

się — Ta zemniemy, bo najwyższe od

Przeraził się chłopiec niezmiernie i zaczął uciekać, że tchu mu starczyło. A jak drogę przed nim wydłużał, a szumiał, twarz mu wybielił a łzy mu z rzęsy ...

Wypadł z lasu i obejrzał się po niebie, ale nigdzie nie mógł słońca dostrzec. Za siebie spojrzał, a ono na ziemię spadło i toczyło się krwawe, umglone, bez jasności, aż zatoczyło się za czarną krawędź ziemi.

Zapłakał chłopiec wołając:

— Teraz słońce nie pokaże się wcale, bo widziało dziś ludzi, którzy zabijają to, co wielkie.

Nad nim chichot ...

ptaka?

Odezwał się ...

mógł czynić, dlategom go zabił.

wypadła śmierć dla wielkiego ptaka

A gdy znów stanął pod sosną największą, zatrzymał się i myślał:

— Czemu ptak na tem drzewie nie osiadł, byłby uszedł śmierci!

Wtem zbliżyli się ludzie obcy i mówili między sobą, wskazując na drzewo:

TAJEMNICE PARKU

Czysty, błękitny strop, w każdej cząstce iskrzący się i rozgrzany, obdarzał ziemię ciepłem. Spływało ono na rozbujałych falach, które, niosąc je, połowę rozlewały, czy gubiły, czy skradały. Oddech nieba upalny nie był, tylko łagodnie ciepły, tak miły, miły — jakby płynął z piersi, pachnącej szczęściem.

Na rozkołysane, powietrzne morze, wpływały niekiedy błędne żeglarki, wątłe białe, obłoczne puchy i trwożliwie omijały olśniewająco jasną siedzibę słońca, nie śmiejąc spojrzeć w dobrotliwą twarz, której jeden cieplejszy uśmiech mógł je roztopić.

Ziemia chciwie piła ciepło, które gubił i upuszczał rozbawiony wiatr, a drzewa, trawy i kwiaty chwytały jego powiewy tak łakomie, jakby go chciały rozkraść.

Wiatr śmiał się i każdemu z rąk umykał. Lipom targał głowy, a gdy gniewne zsypywały nań pyły kwiecia, on śmiał się kontent, że będzie pachniał. Brzozy poufale za obwi-

słe włosy pociągał i śmiał się, patrząc, jak fałszywe płaczki ze złością układają napowrót kędziory swoje w posępne sploty i udają dalej smutek.

Trawom złośliwie szeptał: »Skoszą was«, dmuchał na nie wonią siana, którą na łące jakiejś ukradł, i kazał się wszystkim pokładać, udając, że je ścina... Kwiaty na łączkach pogardliwie obwąchiwał: »Nie chcę waszej woni — nieprzyjemna, kupuję teraz u lilii, goździków i róż« — szydził. Motyle spędzał z drogi, muchy potrącał, małym ptakom pierza w locie rozdmuchiwał.

Nawet cudzoziemskich krzewów nie szanował... Na tuje ciskał zwiędłymi listkami akacyi, chorowitą palmę uderzył w głowę, z cyprysów się naśmiewał: »Nie takie widziałem, a zresztą, co wy jesteście? Wynajęte, grobowe stróże; idźcie na cmentarz!« — wołał i uciekał na pomarańcze, a cyprys kiwał za nim posępnym tułowiem.

Przeleciał po powierzchni wody, dmuchnął łabędziom pod skrzydła i spadł na kwiatowe klomby. Tam pachniało tak, że ucichł na chwilę i pił słodką woń lewkonii... Ociężał, upił się, chciał zasnąć — ale porwał się, chmurę pyłu podniósł, zakręcił nią, cisnął na

drzewa i kwiaty, i zgubiwszy wszystkie wonie, które niósł — uciekł, nie wiadomo dokąd.

Ciepło poczęło spływać po nieruchomych cząsteczkach powietrza. Rozrzucone wonie nieruchomie zawisły, ciężkie zapachy lewkonii, gwoździków i róż opadły na ziemię, nad nimi czuć było kwitnącą lipę, wiatr wysoko w powietrzu zawiesił jej zapach słodki, pieszczotliwy i skromny.

Na drzewach liście bezwładnie zaciężyły ku dołowi, powierzchnie ich piły słońce, lecz trunek ten zabierał im siły i suszył je, tylko pomarańcze, cyprysy i wynędzniałe palmy chciwie pochłaniały upał i wciąż wydawały się blizkiemi śmierci.

Nieruchome, u końca niewidzialnych nici wiszące, z rozpostartemi skrzydłami, szmaragdowe muchy, cicho wypatrywały nad łączką zdobyczy; zniechęcone — odbiegały nagle i szybko. Motyle ociężałym, nieporządnym lotem miotały się po powietrzu, jak listki bez celu unoszone wiatrem, lecz od czasu do czasu wpadały w trawy i szperały między niemi długo. Przelatywały z drzewa na drzewo lub z gałęzi spadały niekiedy szczypty puchu szarego, brunatnego, popielatego lub złocistego i ginęły też w tra-

wach... Te same śmiesznie małe puchy czy ptaki, uczepiwszy się gałązki jakiej, nadymały gardziołka i całe się trzęsły, rozdęte przenikliwym głosem, który się z nich dobywał... Był to albo jeden, do nieskończoności powtarzany dźwięk, albo jedna zwrotka, zawsze tak samo zaczynana i kończona.

Nad ciemno-zieloną i, zdawało się, że bezdenną powierzchnią strumienia płakały, bez łez i bez głosu — jesiony, graby i wierzby, i w smutku zdawało się im, że toną w wodzie, rzucając w nią po kolei ciemne pnie, szmaragdowe liście i uczepione do nich szmatki błękitu, a woda nie brała im nic, tylko na listki ich odrzucała zmienne, drżące blaski świateł, których pełne było jej łono... Tu błąkały się jeszcze resztki chłodu.

Lecz niebo oddychało już żarem, słońce ognistą pieszczotę słało ziemi, a w parku zimno było tylko jednym posągom.

One były białe i nagie. Na ich łona padała taka jasność, jakby słońce chciało je roztopić i wessać ich piękność, tak, jak to czyni z białymi obłoczkami, lecz nie zdołało ich nawet rozgrzać. Młode dziewczęta na piedestałach kurczyły się i tłumiły dreszcz, młodzieniec z harfą w ręku, znękany, głowę

opuścił, skulone satyry cierpko się uśmiechały, boginie i bogowie byli smutni. Wszystkich głowy zwrócone były do słońca, lecz w oczach otwartych a ślepych nie świeciły błyski radości, jaką czuły drzewa, kwiaty, owady, ptaki.

Były ciche i bez ruchu, tem wymowniejsza biła od nich skarga. Dzieci, piękniejsze od jutrzenki, miały pęknięte czerepy, chłopcy, silni jak lwy młode, pokazywali okaleczone ręce i nadłamane nogi, bogom brakło czasem ucha, a Diana nie miała nosa. Była tam marmurowa dziewczyna, która stojąc nad wodą wplatała we włosy róże; czcił ją cały park, gdyż piękniejszej istoty nie podobna było wymarzyć. Na jej piersiach zakrzepły strugi brudnej wody, zdawało się, że jej skóra biała i połyskliwa drży ze wstrętu pod tym brudem. Inna zastygła w namiętnym tańcu, lecz jednej stopie jej brak było palców, na których wspinając się, miała wykonać najlżejszy i najwdzięczniejszy ze swych ruchów. Płakały nad nią drzewa i przykrywały ją grubym cieniem swych sklepień...

Słońce ich nie cieszyło, ciała ich piły jasność, lecz one były zimne, zniechęcone, smutne...

Nagle od wejścia rozległo się ciche chrząkanie satyra, który tam czuwał — stary i obumarły. Wiatr, niewołany, wpadł w tej chwili, pochwycił chrypliwy głos i w szeleście liści rozniósł go po parku. Był to znak, że ostatni ze świątecznych pijaków wyszedł trzeźwić się, czy upić lepiej — i że park na chwilę, na jedną chwilę będzie pusty, i niczyje oko wnętrza jego nie śledzi.

Wtedy młodzieniec z harfą podniósł głowę, uśmiechnął się z półdziecinną radością i trącił struny...

Park zamarł, wiatr legł na powierzchni wody i nawet łabędzi nie drażnił. Olbrzymie oko słońca błysnęło żywiej i zdawało się, że oblicze jego niżej się nachyla, a oddech staje się gorętszym... Głębokie westchnienie wzbiło się ku niemu, niosąc na skrzydłach przenikliwie smutną pieśń uwięzionych:

»O, czemuś oderwał nas od twego łona? Czy ci nie żal własnych cząstek? Czy nie świeciłyśmy dość pięknie i czysto? Kazałeś nam krążyć dokoła głów ludzkich, pozwoliłeś, by plugawe ręce nas pochwyciły, na twój rozkaz oblekłyśmy te nędzne formy! I patrz, kto nas czci, kto kocha, kto odgaduje? O, weź nas, weź, weź...

Zimne i oszpecone kamienie świeciły w tej chwili słoneczną jasnością i odzyskały nieskalaną piękność i czystość. Członki ich były gibkie, ruchy niewysłowienie wdzięczne; oczy, utkwione w słońcu, płonęły myślą i zachwytem, wilgotne usta drgały, przepuszczając słowa błagalne i piersi dyszały wzruszeniem.

Burza zostawiła ziemi świeżość, a noc pieściła ją ochłodzoną dłonią. Usypiający park miał oddech wonny. Oblane mdłem światłem księżyca, posągi promieniały łagodnie.

U wejścia rozległo się znów chrząkanie satyra. W parku nie było nikogo.

Lekkie uśmiechy przemknęły po twarzach bogów, bogiń, młodzieńca i dziewcząt. Ciała ich znów żadnych skaz nie miały, oczy błyszczały, usta zwilgotniały i drgały, chciwe pocałunków; członki rozginały się z wdziękiem. Pierwsza zeskoczyła z piedestału tańcząca nimfa. Lżejsza od wiatru, w ruchach lubieżnych podbiegła do starego satyra i ze śmiechem pochwyciła w białe dłonie jego głowę. Zdumiony stróż parku chrząknął radośnie i suchemi rękami oplótł... księżycowy promień. Nimfa kołysała się już zawieszona na szyi młodzieńca, który w uścisku jej omal

harfy nie uronił, a smutną pieśń swą zapomniał.

Satyr ze złości spadł na ziemię i kucnąwszy na krzywych nogach — przeraźliwie zawył. Lecz krzyk swój urwał nagle i zmieszany, bez szmeru wdrapał się na piedestał.

Ciche: ts—s... przeleciało po parku.

Stara kobieta i mała dziewczyna szły wolno ścieżką przez park, skracając sobie drogę do wsi, za miastem. Dziewczynka lękliwie patrzała na ciemne zarośla i zgubione w nich drobne, księżycowe światełka. W ręku mięła spódnicę matczyną.

— Mamo, tu ktoś gada.

— Nikt nie gada, Joasiu, nie bój się wcale.

Księżyc rzucił przed nie wielką srebrzystą plamę, a w zaroślach obnażył satyra.

— U—u—u... ma... mo...

Jakieś struny pękły w głosie małej dziewczyny, załkały w wielkiem przerażeniu. Matka pochwyciła ją na ręce i szła prędzej, a w ramię jej wsiąkały ciepłe łezki Joasine.

Tymczasem satyr spłonął krwawym rumieńcem i pierwszy raz w życiu żałował, że jest tak brzydki, że przestraszył małą dziewczynę. Jak mógł najciszej, szepnął do nimfy: »Ona się boi!« Posągi powtarzały jedne dru-

gim: »Mała dziewczyna się boi!« I każdy stroił się w najweselszy uśmiech, a przyjazne ich tchnienia tak nasyciły powietrze, że ośmielone dziecko podniosło głowę i znów się rozejrzało.

Były nad wodą. Księżyc świecił i daleko odgarnął cienie, rozespany łabędź sennymi ruchy płynął do brzegu, a w zaroślach kwilił zbudzony ptak. Nie było się czego bać. Kobieta zatrzymała się chwilę, nabierając tchu, a Joasia, zsuwając się z rąk jej, szepnęła:

— Siądźmy, mamo, tam, gdzie to białe...

Siadł u stóp dziewczyny, przeglądającej się w wodzie i upinającej różę we włosach. Starej kobiecie zaraz zaciężyła głowa, pochyliła się na piersi. Joasia szeptała:

— Mamo, jaka ona śliczna, kto ona jest?

Głębokie westchnienie przebiegło po parku. Posągi cicho łkały ze wzruszenia i powtarzając sobie: »Ona powiada, że my śliczne, mała dziewczyna powiada, że my piękne«...

Lekkie, niewidzialne, powietrzne istoty odłączyły się od posągów, oplotły głowę kobiety i dziecka, i całowały je, tuliły, pieściły...

Tej nocy, jak i zwykle, Joasia spała w lichej, chłopskiej chacie, ale główka jej pełna była pięknych snów i widzeń. A nazajutrz, gdy cieszyła się, oglądając świt, nie wiedziała, że wspaniałe oblicze słońca wpatruje się w nią i oblewa uśmiechem, widząc zasianą w jej duszy miłość dla piękna.

NA PROGU

FANTAZYA

Tej nocy, jak i zwykle, Joasia spała w lichej, chłopskiej chacie, ale główka jej pełna była pięknych snów i widzeń. A nazajutrz, gdy cieszyła się, oglądając świt, nie wiedziała, że wspaniałe oblicze słońca wpatruje się w nią i oblewa uśmiechem, widząc zasianą w jej duszy miłość dla piękna.

Kiedy Alojzy opuszczał dom rodzicielski, Marta i Jan żegnali go czule. Ona mówiła:

— Bądź dobrym, niczego więcej nie pragnę. O, gdyby słowa moje stać się mogły skrzydlatym aniołem, któryby cię od złej myśli i złego czynu osłaniał, synku mój najmilszy!...

Usta matki i syna złączyły się w pocałunku, a ręce w uścisku splotły. Oboje czuli iż jeden strumień życia, myśli i uczuć opływa ich ciała; w obojgu dziwnym bólem, rozkoszą i tkliwością zadrgało wspomnienie, tkwiące w każdej ciała cząstce, iż niegdyś stanowili — jedno. Spojone wargi: suche i zwiędłe — kobiety, różowe, wilgotne i pełne — chłopca, nie chciały się rozerwać, a gdy uczynić to musieli, usta ich zaszemrały bolesną skargą.

Lecz Jan ujął syna za rękę i powagą swego wzroku wrócił mu męstwo. Potem wyprowadził go na wzgórze, skąd oko mogło ogar-

nąć rozległą dolinę: pośrodku jej błękitną i nieruchomą powierzchnią rozlało się jezioro, a dokoła niego rozrzucone śmiały się w słońcu białemi ścianami domy osady. Dzień był jesienny, mgły ranne podniosły się już i uleciały, a tylko najcięższe z nich niebieskawą zasłoną otulały szare i obnażone grzbiety wzgórz. Między ścianami głębokiego parowu, u nóg Alojzego i Jana kryła się ich chata, ukazując tylko strzechę, z pod której wylatały stada wróbli i co prędzej znów pod nią wracały. Kilka srok szczebiotało w powietrzu pożegnania dla chłopca. Z chaty jednej wyszła kobieta i przysłaniając dłonią od słońca swe oczy, przyglądała się ludziom, stojącym na szczycie wzgórza; potem uczyniła ręką znak pożegnania; ruch ten powtórzyli i inni ludzie, starcy, kobiety i dzieci, których dzień pogodny zwabił na oblane słońcem przyźby. Wówczas Jan, roztaczając ręką krąg nad doliną, rzekł:

— Gdy będziesz bardzo zmęczony i smutny, przypomnij sobie o tym zakątku ziemi. Wiem, że będziesz walczył do końca, lecz nie zawsze najsłabszymi i najgorszymi z ludzi są ci, którzy nie mogą dojść do wielkich celów, jakie w zaraniu życia z najczystszych

głębin ich ducha wschodziły niby słoneczne widma. Więc wyrzut cię tu nie spotka, a serca, które tęsknotą po tobie bić będą, zachowają zawsze ciepło dla rozgrzania zmrożonego ducha.

Uścisnął go i zostawił samego.

Alojzy uszedł już spory kawał drogi, gdy nagle wiatr powstrzymał go echem czyjegoś wołania. Odwrócił się i dojrzał ludzką postać, spieszącą po drodze przebytej przez niego. Od wiatru szybciej podbiegł do niej i w ramiona pochwycił Martę.

— Chciałam ci jeszcze powiedzieć... Gdybyś uczynił kiedy co złego... — mówiła zadyszana, a zmęczenie rwało nitki jej wyrazów.

— To ty jedna przebaczyćbyś mi mogła, choćby wszyscy potępili? To chciałaś powiedzieć? — pytał Alojzy, niosąc ją w ramionach na skraj drogi i sadzając na kamieniu, przy którym ukląkł i głowę na jej kolanach położył.

Marta nachyliła usta ku uchu jego.

— Możeby wargi nie chciały przepuścić słów przebaczenia, lecz serce... O radosny promyku mój! — szeptała — gdybyś ty się grzechem splamił, jabym cię sama oddała na

śmierć lub na hańbiąca karę, lecz wpierw uścisnęłabym cię ot tak — ot tak... a później — poszła razem z tobą.

— Więc przyrzekam ci, iż będziesz wiedziała wszystko, cokolwiek uczynię.

Wiatr jesienny długo jeszcze zgarniał skrzydłami echa ich szeptów, płaczu, pocałunków, zaklęć i obietnic.

A Jan, stojąc na szczycie wzgórza, zapatrzył się w mglistą dal, która pochłonęła mu syna. Myśli jego biegły śladem tego, który odszedł, i spłynęły wreszcie w cichy, modlitewny śpiew.

»O wiosno ducha! Czy nie piękne są zorze, z których powiewy twe ranne zdzierają purpurę, by nią przysłonić w oczach młodości brudny łachman życia? Czy nie świetne te słońca, którym kradną promienie, by w złudnem ich świetle ukazać widmo jego nęcącem i pięknem? Czy nie czarodziejskie te chóry, których echa wesołe twój oddech w pierś młodą wlewa? A przecież, o piękna! twe czary nie powstrzymają młodości, by niecierpliwą ręką nie rwała ze śmiechem tkaniny złudzeń, kryjącej świat, byt ludzki i byt rzeczy; pieszczota tkliwa nie utuli niepokoju myśli szarpiącej się do prawdy, ani nie uśpi

serc łaknących cierpkości bólu — i szept twój umilknie, lub złączy się z przywołującym głosem wiedzy! O niebieska! patrz w tę światłość, którą rozpaliły jasne duchy ludzkie i zgaś twe barwne zorze i ułudne słońca, niech skrzydła twe jedne tylko jej promienie zgarniają i jej ciepłem się rozpalają, a gdy w tchnieniu jego stopnieją mgły i z nich świat się przed okiem młodości wynurzy, powróć do nieba i przynieś ognia zachwytów i upojeń, który tylko w młodem sercu się rozpala: tu na ziemi czekać cię będą młodzi, klęczący w podziwie i zadumie!

»A gdy wstaną drżący, wzruszeni, z płomieniem w oku i burzą w piersiach, o dobra! nie gaś tej dumy, z którą stopa ich deptać będzie przesądy i nie studź odwagi, z jaką dłonie ich pochwycą świeczniki promienne i ciemnościom grozić będą, lecz gorącem tchnieniem poezyi wiosennej podsycaj ogień miłości, którym ich serca ogarną świat, ludzi, kraj swój, i nad niemi — tam gdzie jest tylko mrok chłodny — rozpal, o miłosierna! płomyczek nadziei!«

Taką modlitwą Jan żegnał syna.

* *
*

W mgliste swe i nieuchwytne ramiona życie przyjęło Alojzego z taką obojętnością, z jaką ocean otwiera swe łono olbrzymie dla wód małego strumienia. Potężna, lecz bezmyślna fala uniosła go, tyle się troszcząc o los jego, co o los każdej z kropli, wyssanych słońcem w obłoki lub spadłych z obłoków, a on na jej grzbiecie popłynął ufny i bezpieczny, rozmarzony, w szmery jej wsłuchany i w mgliste nad sobą obrazy wpatrzony. I zdało mu się, iż w głębinie wód życia jest ktoś, co nań czeka, ktoś, co pragnie go i tęskni doń, iż czyjeś głosy go przywołują, a dokoła uśmiechają mu się twarze przyjazne i oplatają go braterskie ramiona.

W duszy Alojzego drgała jedna struna dziwna. Kto ją tam nawiązał? Może uplotła się z tych łez, któremi Marta wypłakiwała mu u Boga — dolę jasną! Może wysnuła się z tych dum, które marzył Jan nad kolebką jego schylony! Wydzwaniała mu ona piosnki tak rzewne i tak żałosne, iż w słuchaniu ich oczy łzawą mgłą mu zachodziły i cień tęsknego smutku kładł mu się na twarzy, ścierając z niej uśmiech. Dziwna struna! Gdy na niebie czystem, jak dusza jego, wi-

tało go słońce, jak młodość — jasne, gdy kwiaty przywoływały go wonią słodką i barwami oczy wypieszczały, gdy trawy kobiercem miękkim pod nogi mu się kładły a drzewa chłodnym cieniem go nakrywały, gdy w spokojnym majestacie odsłaniając wspaniałe łono — śmiała się doń łaskawie przyroda i głosy jej, bez troski dźwięczące zlewały się w słuchu jego w chóry wesela — wtedy arfę jego duszy trącały czyjeś tchnienia i jedna struna tęskliwa odzywała się cicho, cicho, żałośnie. Bez skargi na radość omroczoną Alojzy słuchał co duch mu własny śpiewa i zdawało mu się, że to w piersi jego kona dalekie echo czyjegoś ogromnego bólu i bezmiernej niedoli.

Z myślą wiszącą u pytania: kto cierpi? kto go woła? — wsłuchiwał się w odgłosy płaczu i śmiechu, tętniące w fali życia, i wypatrywał rafy te, o które z płaczem rozbijają się piersi ludzkie, i szukał okiem tych zatok cichych i słonecznych, ku którym tłoczą się zwabione ich weselem istnienia ludzkie. Powoli, z oceanu pragnień, nadziei, namiętności, usiłowań, cnót i występków, w którym jako jedna kropla kąpała się myśl jego, począł wynurzać się przed nim obraz człowieka, sku-

piający w sobie rozpierzchłe w tych żywych kroplach pyłki barw, i wpatrując się weń w niemym zachwycie, dojrzał wszystkie rysy wiekowej niedoli, mroczące wspaniałe piękno tego obrazu.

Wtedy powrócił znów do słuchania tego, co w nutach żałośnych śpiewała mu arfa, którą nosił w piersiach. Jej piosnki były tak smutne, że nie mogąc ich dłużej tłumić w swej duszy, szukał kogoś, ktoby je chciał wysłuchać.

Myśl jego skierowała się do starca poety, którego pieśni, opłakujące niedolę ludzi, wzruszały go głęboko. Zdało mu się, iż dusza tego człowieka musi być bardzo zbolałą i że łatwo zrozumie on smutek innego.

Nieśmiały i wzruszony stanął przed nim dnia pewnego.

Starzec przyjął go z życzliwą powagą i sam z drżącej ręki jego wyjął zwitki papieru, podobne do tych, jakie dostrzegał w dłoniach wielu odwiedzających go. Rozwinął i odczytał jeden z nich, i rzuciwszy następnie okiem na blade, drgające od niepokoju i wzruszenia oblicze chłopca, mówił mu dobrotliwie:

— Daruj starcowi jego ciekawość, mój

synu. Czy życie nie obarczyło cię dotychczas żadnymi obowiązkami?

— Nie popełniłem występku, za który zasłużyłbym na wytrącenie mnie z szeregów moich braci, niosących ich brzemię — odparł Alojzy.

— Więc nie jesteś nieszczęśliwym! Może masz rodziców, których starość pielęgnujesz, ujmując ich barkom osłabłym ciężarów życia. Czy wiesz, jak słodko jest tę ścieżynę, którą, pocąc się krwawo, wykuły ręce ojcowskie, rozszerzać w szeroki gościniec, dążący tam, dokąd tysiące innych dąży, tam, gdzie w wielkie zbiornisko zlewa się sława, bogactwo, potęga narodu? Może masz kochankę, z którą spleciesz swe dłonie dla wspólnej pracy! Jak lekką staje się ona, gdy w uszach zadźwięczą srebrzyste chóry dziecięce, z jaką dumą wyprowadza się później swych synów na drogę, własnemi rękami utorowaną! A jeśli jesteś samotny, jeśli podmuch złego losu zgasił ci ognie rodzinne, to przyłączyć się możesz do jednej z tych gromad ludzkich, które zwolna, z mozołem niewysłowionym podążają ku dalekim celom, jakie wytknęło ludzkości pragnienie uszlachetnienia się: ciepło braterskich piersi byłoby dla ciebie ró-

wnie ożywczem, jak uścisk matki lub kochanki. Jeśli to, co ci mówię, nie jest nowem dla ciebie, to powiedz mi, czemu tak smutną jest piosnka, którą mnie obdarzyłeś?

— Mój mistrzu, w obrazie, jaki skreśliłeś, odbija się spokojna szczęśliwość. Mógłbym łatwo pozyskać ją dla siebie, lecz widziałem tłumy ludzi, wydały mi się nieprzeliczone, dla których jest ona straszliwie daleką. Tłumy te nie dążą nigdzie, spowiło je tyle ciemności, jakby niczyj mózg nie zapalił nigdy płomyka wiedzy, i tyle nieszczęścia, jakby niczyje serce nie chciało nigdy uskąpić sobie radości dla obdzielenia nią innych. Widziałem jeszcze, iż gościńce życia roją się ludźmi, którzy bezładnie dążą w różne strony i zdają się uciekać przed jakąś straszną, druzgocącą siłą; ze śmiechem szyderstwa lub z tkliwością obłąkaną niosą oni szczątki pogruchotanych nadziei, złamanych uczuć, rozbitych wierzeń i głosem jedynego tylko pragnienia przywołują — każdy dla siebie — posępną łódź śmierci!

Te głosy płoszą mi sen. Ciskają mi jakiś wyrzut, który mnie niepokoi, lub tęsknie żądają czegoś odemnie. Powiedz mi, mistrzu, czy z ludzkich piersi może się wydrzeć pieśń

tak piękna, by pieszczotą dźwięków goić mogła rany i siłą brzmienia rozbudzić wszystkich, którzy w słodkim śnie szczęścia nie słyszą tych ech smutnych, pełnych bólu i skargi?

Starzec ujął go za rękę i w czarnej głębi ócz jego zatopił długie wejrzenie, pełne obaw, żalu i tkliwości. I rzekł z cicha:

— Duch miłości zdziałaćby mógł to, czego pragniesz; lecz jakże trudno jest śmiertelnym ustom wysłowić szept jego! Nie mówię ci: próbuj! gdyż każdy, czyjego ucha dotknęły niewidzialne usta jego, musi powtórzyć to, co słyszał, lub umrzeć. Lecz pragnąłbym, by pieśń twoja była doskonalszą od innych, by się przelała w krople rosy i spadła na uznojone czoło ludzkości. Zazdrościłbym ci wtedy.

Umilkli obaj. Starzec zapadł w głęboką zadumę. Zdawało mu się, iż przed okiem jego, uchylającem zasłonę wiekowej przeszłości, ludzkość wyłania się w mozolnych, mrówczych ruchach z odmętów zwierzęcego życia. Jak niepojęcie daleko, jak niepewnie i blado połyskują przed nią światła, a przecież ku nim to właśnie kieruje się ona, stąpając niepewnie, jak dziecię, ręką nieśmiałą rozgarniając przed sobą ciemności. Jaka prze-

strzeń do przebycia! Czy dojdzie? Czy nie pochłonie jej jaki bezmyślny i straszliwy kataklizm? Posuwa się tak wolno, jak wolno odbywają się wszelkie przeobrażenia we wszechświecie. Prawo to ciężkiemi więzami ugniata tych najlepszych jej synów, którzy, śląc swą myśl lotną daleko po drodze, jaką przebyć należy, radziby jednem dźwignięciem pociągnąć za sobą całą bratnią rzeszę. I zdało mu się, iż widzi, jak w cichym grobie przeszłości układają się te ręce niecierpliwe, jak przestrzeń rozwiewa pieśni tęskne, które przez chwilę unosiły się nad sunącą zwolna ludzkością, budząc ją i nakłaniając do biegu. Wzrok jego przesunął się raz jeszcze po twarzy chłopca, i znów obłok smutku zaćmił oblicze starca.

— Duch miłości żyje wciąż — myślał — i w naszym lichym, ograbionym z uczuć wieku wciela się jeszcze w nikczemną, człowieczą formę, paląc ją, jak słomę, podmuchem gorącym. Jak srogie są cierpienia tych żywych stosów, a jak niedaleko sięga ich światło i ciepło!

Alojzy innem okiem, okiem przeczucia spozierał w tej chwili w przyszłość. W powodzi świateł, zalewającej jakąś przestrzeń rozległą,

wzrok jego dostrzegał snujące się obrazy szczęścia. Oślepiający blask i świetność barw nie pozwalały mu zatrzymać ich w oku, lecz czuł, iż nadejdzie chwila, gdy tak się doń zbliżą, iż będzie je mógł nazwać swoimi i wyśpiewać. Naprężony słuch jego chwytał jakieś oderwane słowa, a gdy próbował zestroić je razem, przebiegał po nim dreszcz wpółbolesny, pół-rozkoszny, dreszcz oczekiwania i nadziei.

Biedna myśl i słabe człowiecze serce tylko w bólu niewysłowionym powtórzyć mogą dźwięki, które rodzą się w łonie ożywiającego je ducha. I rozkosz, która z mąk tych płynie, jest tak wielką, iż pod nią drży, ugina się i omdlewa bezsilne ciało. W bólu i rozkoszy tworzenia — Alojzy ucierał się długo z własnym duchem, nim dobył zeń czysty i pełny głos oczekiwanej pieśni!

* * *

Jednego wieczoru starzec poeta znalazł na progu swej izby porzucony zwitek papieru. Zostawiła go ręka, która nie śmiała zakołatać do drzwi.

Noc była wiosenna, mroczna i burzliwa. W chłodnym uścisku jej miasto zamarło,

przytaiwszy swój oddech, jak zwierz nastraszony wyciem burzy.

Przesądnym i lękliwym zdało się, iż złośliwe duchy jakieś w swych sercach czarnych i zimnych wypieściły potworne przeciw nim zamysły, i pokłóciły się, a burza echem ich kłótni była. Więc ci z ludzi, którzy od czarciej napaści tarczę mieli w ciszy, 'cieple i świetle rodzinnych ognisk, uciekali do nich tak szybko, jakby po raz ostatni rozgrzać mieli członki, oczy blaskiem napoić i słuch wypieścić słodkimi dźwiękami domowych radości. Gdy czuli się już u siebie, bezpieczni zasiadając w kole domowników, opowiadali jak strasznymi głosami przestrzeń wygraża ziemi, i drżeli jeszcze, nie mogąc z pod powiek wydrzeć odbicia czeluści, może piekielnych, które na chwilę oczom ich się rozwarły.

Byli przecież tacy, których noc ta w opuszczeniu i samotności zastała. Ci się jej nie lękali.

Alojzy błąkał się po ulicach, nadstawiając twarz chłoszczącym biczom wody i pozwalając się popychać zimnym dłoniom wichru. Szedł bez celu, a lęk jakiś, któremu oprzeć się nie miał siły, odpychał go dalej coraz

od miejsca, gdzie w mroku nocy płonęło ciepłe i przyjazne światełko w oknie starca.

Dusza Alojzego była tak zmącona w tej chwili, jak przestrzeń. Przelatywały nad nią wichry obaw, niewiadomo w czyjem tchnieniu zrodzone i niosące z sobą hasła trwogi niewytłómaczonej; rozpalały się w niej ognie pożądań tak namiętnych i gwałtownych, jak błyski, które rozdzierają i ogarniają przez chwilę chmurę i wnet gasną pokonane ciemnością — i pełna była głosów tak pomieszanych i niezrozumiałych, jak nocne chóry burzy. Zdawało mu się, iż odbył już drogę długą, długą, popychany wciąż czyjąś dłonią niewidzialną i tak okrutną, że nie dawała mu się obejrzeć i dostrzedz oblicza siły, której ulegał. Kiedyż skończy się bieg męczący! Kiedy nastąpi chwila, w której poczuje, iż spełnił to, czego odeń żądano! Chwila ta byłaby pełna niewysłowionej, bezmiernej radości. Lecz może nastąpi ona tak, iż czuć jej nie będzie? Może już nastąpiła! Te ręce, które nieubłaganie pchały go kędyś, które zniewalały do śpiewu arfę zamkniętą w jego duszy, teraz gdy wyśpiewała ostatnie słowa żądanej pieśni — może pochwyciły ją już, i cisnęły o głaz jaki i porwały struny —

już nieużyteczne! Czy w piersiach jego nie przelewa się długim jękiem echo zerwanych strun wszystkich, wszystkich — i czy nie żegna go ono słowem: oto koniec! Lecz pieśń nie umilknie wpierw zanim on umrze; na cóż mu myśl, świadomość, uczucie — bez niej? Ona ulecieć może tylko z tchnieniem życia, gdyż była życiem, przelewała się krwią po członkach jego, karmiła go, poiła i kołysała do snów! Ta myśl rozlała dreszcz rozkoszy po ciele jego i spłynęła w jakiś smutny spokój, który go ogarnął.

Począł się wsłuchiwać w rozigrane w burzę głosy ciemnej przestrzeni i one przemawiały do niego dziwnie wymownym i surowym smutkiem. Rozumiał je. Nie były odgłosem walki, gdyż łono wszechświata jest wiecznie spokojne, nie rodzą się w niem zachcenia żadne, nie ścierają nigdy wrogie sobie wole; wytrącone w punkcie jakimś z równowagi siły powracają do niej ulegle: potęgi nieświadome siebie i celu swego, są milcząco i ślepo posłuszne dążeniom narzuconym, brzmiącym jak rozkaz prosty, wyraźny, niezmienny. One są jękiem pokory. Lecz czy martwej przestrzeni tylko? Czy nie zlewa się w jęk ten skarga ludzkości toczącej z ró-

wną pokorą fale pokoleń ku celom nieznanym? Czy i nad nią nie zawisła czyjaś wola nieprzeparta? I oto w jednej, niesposłusznej piersi ludzkiej rodzi się wola oporna tamtej, jedno serce zachwycone własnemi pieśniami usiłuje wyrwać u tamtej szczęście dla ludzi! Ah! by zdziałać to, pieśń jego powinna być głośniejszą od wrzawy huraganu, jej echo powinnoby się odbić aż w piersi wszechświata, i wstrząsnąć nim i rozbudzić go!...

Zwątpienie tak szybko zalewa dusze młodych, jak wody wezbrane — nadbrzeżną równinę. Chłód jego w jedno mgnienie skuł Alojzemu piersi, i dźwięki, które z serca jego przedzierały się przez ten pancerz lodowy — słowa pieśni, które tak niedawno rozlewały potoki żaru po żyłach jego — teraz wydały mu się zimne i tak ciche, jak szepty słowicze. Kimże one wstrząsną? Kogo rozbudzą!

Szedł dalej coraz w zupełnej pustce nocy i zdawało mu się, iż go pociąga brzeg jakiejś przepaści bezdennej i cichej, i że, gdy nad nią stanie, nie będzie już mógł oprzeć się pokusie spokoju i zapomnienia — tam, na jej dnie. Oczy jego, zatapiając wzrok w ciemnościach, wypełniały próżnię jej obrazami samej tylko niedoli, nędzy, płaczu ludzkiego,

a jednocześnie słuch miał pełen głosów, które nań wołały: »Zbyt wiele kochasz, twoje serce nie ostoi się wobec tego co oczy widzieć będą — życie jest dla tych, którzy skorupą obojętności serca odzieją a na twojem nie utrzyma się ona nigdy — więc ustąp!«

»Powróć do nas, gdy będziesz bardzo zmęczony« — szeptały czyjeś usta, i z daleka, z daleka uśmiechnęły mu się twarze Marty i Jana. Lecz to wspomnienie tylko nowym smutkiem ścisnęło mu piersi. »Nie uczyniłem nic, by zasłużyć na słodki odpoczynek między niemi« — powiedział sobie.

Mrok opuszczenia i samotności gasił myśli jego. Czuł się tak słabym i wyczerpanym, jakby życie uciekało zeń wielkim, niepowstrzymanym strumieniem. Za chwilę koniec nastąpi bez wysiłku, bez walki i bólu. Więc jędno już tylko pragnienie paliło pierś jego, oto zobaczyć jeszcze na chwilę twarz ludzką, choć jedną i błagać o uścisk — najkrótszy, byle nie umierać w zimnych objęciach przestrzeni, lecz przy ciepłej piersi człowieka! To mu się należy za miłość, jaką kochał ich wszystkich.

* * *

Starzec czuwał tej nocy. Nie burza płoszyła mu sen z powiek, lecz pieśń niepojęcie piękna, którą na zwitku papieru napisaną ktoś zostawił u proga jego domu. Pełen niewymownej obawy, niepokoju i oczekiwania nie schodził z tego progu i, tęsknie podnosząc ręce, przyzywał kogoś z ciemności, której nieprzedarta zasłona wisiała nad snopem światła padającym od drzwi odchylonych. Wtem z pod rąbka jej wychyliła się ludzka postać drżąca, chwiejna, padająca. Z ust starca dobyły się z krzykiem radości tylko te słowa:

— O mój synu!

Na ramionach swych, w których nagle odzyskał młodzieńczą siłę, poniósł Alojzego do izby i ułożył go, jak dziecię, na swojem łożu. Potem klęczał przy nim i szeptał mu do ucha wyrazy, które najcudniejszą melodyą rozpływały się w słuchu Alojzego, wracając sercu jego ożywcze ciepło.

— Nigdy z ust ludzkich nie wydarł się równie potężny głos miłości, jak ten, który w pieśń swoją zakląłeś — mówił starzec. — Lecz nie pozwalaj by cudze usta nieumiejętnie głosiły jej słowa, niech bracia twoi słyszą je od ciebie samego, gdyż ty tylko wło-

żysz w nie żar, który spopieli pokrywę obojętności zamykającą ich serca.

...Noc jeszcze była, gdy Alojzy rozstał się ze starcem i powrócił do własnej izdebki by w ukryciu i samotności uczcić tę cichą i wielką uroczystość, jaką święciła teraz dusza jego, a która podobną była do tej, jaką święci przyroda po wiosennej burzy. Lecz chmury, które ją zawlekły na strop jego ducha, nie rozpierzchły się zupełnie, ślad ich został we mgle nawianej przeczuciem tych zwątpień i upadków, które nań czekają za progiem otwierającego się przed nim z chwilą tą życia.

Wreszcie nastąpił świt.

Pierwsze promienie słońca ucałowały tkliwie oblicze Alojzego, które z młodzieńczego stało się męskiem: niewidzialne dłuto ubiegłej nocy wyrzeźbiło na niem głębokie rysy smutku, których nic już zetrzeć nie miało, gdyż były one piętnem, jakie duch miłości wyciska na wysłańcach swoich idących ze słowami jego między ludzką rzeszę.

FRAGMENTY

żyaz w nie żar, który spopieli pokrywę obojętności zamykającą ich serca.

...Noc jeszcze była, gdy Alojzy rozstał się ze starcem i powrócił do własnej izdebki by w ukryciu i samotności uczcić tę cichą i wielką uroczystość, jaką święciła teraz dusza jego, a która podobną była do tej, jaką święci przyroda po wiosennej burzy. Lecz chmury, które ją zawlekły na strop jego ducha, nie rozpierzchły się zupełnie, ślad ich został we mgle nawianej przeczuciem tych zwątpień i upadków, które [czekają go] za progiem otwierającego się przed nim z chwilą tą życia.

Wreszcie nastąpił świt.

Pierwsze promienie słońca ucałowały tkliwie oblicze Alojzego, które z młodzieńczego stało się męskiem: niewidzialne dłuto ubiegłej nocy wyrzeźbiło na niem głębokie rysy smutku, których nic już zetrzeć nie miało, gdyż były one piętnem, jakie duch miłości wyciska na wysłańcach swoich, których ze słowami jego między ludzką rzeszę.

LIPA.

Miałem ja stróżkę ongi, co domostwa pilnowała wiernie. Przed oknami ona stała cicha a niewzruszona zawsze, niedbała na deszczowe fale, śnieżne zamiecie i gniewy wichury. Gdy przywdziała strój odświętny, wtedy była ogromna i cień jej starczył za chłodne pokrycie dla małego domku, każdy zaś starą jej urodę chwalił, mówiąc: rzadko tak piękną lipę znaleźć. Kiedy byłem mały, ona dla mnie wielkim była światem — ludnym, szczebiotliwym, kwitnącym i wonnym na lato, posępnym w zimie. W młodzieńczych latach moich lipa ta stara nieraz mi z oczu płoszyła sen ranny, trącając lekko gałązką o szybę; to było jej wołanie, abym z izby dusznej szedł na świat popatrzyć. I widziałem wtedy, że mi z dumą pokazuje swój szczyt w złocie gorejący, a niby mówi: ja się zawsze niebiosom przyglądam — gwiazdom — słońcu, więc

i ty nie spij. I zazdrościłem lipie owego jej ogromu i złotych odblasków słońca i tego, że rychlej odemnie jutrzenkę ogląda.

Razu jednego o wczesnej godzinie cisnęła ona garścią suchych liści w szybę. Szmer to był lekki, lecz sen nad głową znękaną tylko końcem skrzydła ciążył, więc posłyszałem jej stukanie i ujrzałem, jak za oknem stała w białym zawoju mgły, niby w czepcu, z pod którego pasma wyblakłego listowia spływały. Mowa jej była smutna. Oto jesień. Wiatr rabuje liście, niebawem śnieg je pogrzebie, a ciebie straszyć będą moje nagie, czarne piszczele. Nie rychło wrócą piękne jutrzenki. A i lipa już usycha od szczytu — myślałem, spoglądając na jej konary. Rozstaliśmy się dnia tego na zawsze.

Komuż ona teraz zwiastuje wiosny i jesienie? Nieraz, gdy w noc bezsenną czekam rozświtu z upragnieniem, oczy moje szukają w mroku za oknem ciemnej drzewa sylwetki. Niema jej tam, więc samotność wydaje mi się większą.

SIOSTRY.

Taką mi bajkę opowiedział poeta:

Stałem — mówił on — na bezludnem wybrzeżu. Zima to była i noc już zaszła. Przedemną rozciągał się gładki obszar wód zamarzłych, ubielony śniegiem, a teraz szarością mroku powleczony, za nim wisiały grube i gęste opony zupełnej nocy. Wiatr mroźny i suchy wydawał się podmuchem złości i szyderstwa. Czaił się on, przylegał do ziemi i z wirem zimnego pyłu przebiegał z miejsca na miejsce. Chwilami nie czułem go wcale, bo słyszałem, jak huczy dokoła ze wszystkich stron. Z największą wściekłością przelatywał nad lodową równiną i wtedy zdawało mi się, że olbrzymie kłęby ciemności wstrząśnione chwieją się i kołyszą jak lekkie kotary w podmuchach słabego wiatru. A za nim leciało zawsze mnóstwo jękliwych głosów

i świstów szydzących, które gdzieś, w dali, mieszały się w gwar niezrozumiały i głuchy.

Wielki smutek zapadł w moją duszę. Czułem dokoła siebie ogrom bólu i cierpienia, a nie wiedziałem, kto i dlaczego rozpacza. Słyszałem echo skarg strasznych, przekleństw i wołań przytłumionych i mówiłem sobie z żalem, że jestem bardzo mały, bo nie wiem komu, ani jaką nieść pomoc. Więc daremnym wysiłkiem myśli znużony chciałem się oddalić, a wtedy, zdumiony spostrzegłem za sobą i w pobliżu postać niewieścią, skuloną na ziemi. W cieniach zasłony nie mogłem twarzy jej dopatrzeć, lecz zrozumiałem teraz, iż najboleśniejsze szepty, jakie słyszałem, właśnie z jej ust wychodziły. Zbliżywszy się, pytam nieśmiało, kogo opłakuje ona w żalu tak ogromnym.

— Siostry — odrzekła, a nigdy głos człowieka równie beznadziejnym nie brzmiał smutkiem.

I potem zaczęła szybko mówić, jak ten, kto długo czekał, aby zwierzyć się innemu, a zrazu jej słowa wydały mi się niezrozumiałe.

— Siostra — mówi — umarła z pierwszym podmuchem dalekiej północy, tym właśnie,

który mnie, obrzydłej życie przywrócił. Morze łez wylałam przy jej zwłokach, ale wszystkie marzły i lodową powłoką oblekły je piękne ciało. I westchnienia moje w zimnych kryształach opadały na jej czoło, strojąc jej jak do grobu białym, iskrzącym wieńcem. A byłam ja wpierw świadkiem jej narodzin, lecz krótką tylko chwilę, gdyż musiałam sama umrzeć, aby wątłego ogniska jej życia nie zgasić. Ona jest piękna cudownie, a gdy kto moją poznawszy brzydotę, spojrzy na nią, tego niezrównany czar jej lica odurzy.

— A czy twoja siostra także płacze, gdy ciebie martwą zobaczy? — przerwałem jej.

— Ona mnie nie zna — szepnęła cicho. — Nie widzi mnie ani wtedy, gdy na świat oczy otwiera, ani gdy w nich blask już gaśnie. Jabym się bała uśmiechu jej spłoszyć, więc nie śmiem jej się pokazać. Bo widzisz, dole nasze różne. Ile ona jest uroczą, tyle ja wstrętną, wszystkiego, czem ona obdarzona, mnie brak, a to, co posiadam, jest złowrogie i okropne. Czy słyszysz, ile skarg i złorzeczeń mnie ściga? To wyją ci, co na mgnienie oka ujrzeli moją siostrę, a teraz zdjęci są straszliwą po niej tęsknotą i ci także, którym los nigdy nie dał oglądać tam-

tej, lecz oni przeczuwają ją i w pożądaniu więdną ich dusze. Wszyscy oni niby długi łańcuch duchów pokutnych wloką się za mną niechętni i zrozpaczeni, tego jedynie pragnąc — abym umarła. A ja sama śmierci łaknę, bo przed zgonem chwilkę jedną poję się blaskiem i oddycham wonią mojej siostry.

— Więc ty się chyba zowiesz zimą?

— Tak, a również smutkiem i niedolą, gdy ona, to — wiosna, radość i szczęście.

Gdy to mówiła, oblicze jej wyłoniło się z cieniów, a nie było ono odrażające, tylko jak całun blade i oczy, jak dwa posępne kwiaty i źrenice, jako ciemne, głębokie tonie, w których zapalały się niekiedy łagodne, księżycowe blaski.

Więc patrzyłem na nią, jak brat na siostrę miłośnie i rzekłem:

— Nie złorzeczyłem ja ci nigdy, piękną dla mnie byłaś w postaci zimy, a jako smutek — piłem ciebie bez cierpkości i do niedoli nawykłem.

Chciałem jej też rzec coś miłego:

— Czyż nie wiesz — mówię — że już niedługo nowa spełni się twa ofiara i życiem znów okupisz weselny powrót twojej siostry?

— Nic mi jeszcze nie zwiastuje — odrzekła, głowę spuściwszy i zasłoną się otuliła, na której mętne w szarości połyskiwały kryształki lodu. I odeszła.

Gdy po niedługim czasie znów nocą szedłem ku temu brzegowi, już zdala posłyszałem szmer jakiś miękki i jednostajny, który mnie oszukał, bo mi się zdało, że to na jeziorze trzciny tak szeleszczą. A to kry płynęły już wiotkie, kruche i na skrajach stopniałe, trącając się, szeleściały tak mile. I leżał na wodzie wspaniały snop błękitno-srebrnych księżycowych świateł — i w nich płoniły się te szare okruchy lodu. A od dalekich brzegów, leciał jakiś oddech wielki i już nie zimny wcale...

Pomyślałem tedy: Otóż — zwiastowanie.

ORŁY.

Na górskich szczytach, kędy jutrzenka najraniej stąpa, orły swe gniazda uplotły.

Śmielsze od najśmielszych ludzi, one górom przepaściom i obłokom królowały, przed słońcem źrenic nie mrużyły.

A jeden pyszny był ogromnie.

On straszną w sobie miał odwagę i siłę niepojętą i we krwi ogień niespokojny.

On z braćmi boje staczał tak okropne, że blade pierzchały z gór obłoki, a w przepaściach zalęknione strumienie z szeptem trwożnym uchodziły śpiesznie w doliny.

Ten orzeł jedno umiłował marzenie, aby samemu na szczytach królować.

I oto raz wpółsenna jutrzenka, z mgieł wilgotną przecierając źrenicę, ujrzała, jak z nagiej, martwej skały pyszny orzeł strącał braci zabitych w czeluść kamienną, czarną, bezdenną.

A potem, jak strzała, pomknął w górę i wzleciał tak wysoko, że go słońce dojrzeć nie mogło...

Lecz wrócił... Wrócił on na skały nagie, zimne, puste.

I został sam jeden.

I latał on teraz sam jeden, a częściej, jak głaz nieruchomy, siedział na krawędzi skały, skąd orle spadły ciała i patrzał na potok spieniony, co martwych orłów z krwi obmył i wśród dolin zielonych pochował.

I gdyby ten ptak samotny mógł płakać, toby płakał, gdyby mógł jęczeć, toby jęczał, gdyby mógł wołać, toby wielkim głosem swych braci przywoływał.

Bo jego teraz okropny trawił smutek.

Te skały, którym królował, wszystkie były martwe, to ptactwo, co go okrzyknęło panem swym, wszystko było nędzne i małe.

On nie miał teraz z kim walczyć, ani ścigać się wśród słonecznych przestworów.

Lecz zmiłował się nad nim jeden błędny piorun i zgotował mu piękną, królewską, śmierć.

Wtedy słońce zachodziło purpurowe, na niebie walczyły chmury, pierś o pierś roz-

trącając z hukiem i wichry ryczały wściekle, a skały wstrząśnione drżały aż do swych posad. Ognistą ugodzony strzałą spadł orzeł w wezbrany potok i obmyty srebrzystą pianą popłynął kędy spokój wieczny.

I wśród braci i dolin kwiecistych spoczywa.

U KOŃCA

trącając z hukiem i wichry ryczały wściekle, a skały wstrząśnione drżały aż do swych posad. Ognistą ugodzony strzałą spadł orzeł w wezbrany potok i obmyty srebrzystą pianą popłynął kędy spokój wieczny.

I wśród braci i dolin kwiecistych spoczywa.

Już od wielu lat wszystko dokoła Izydora śpiewało jedną tylko zwrotkę, zwrotkę śmierci. Gdy wchodził do lasu, las mu ją śpiewał; buki i dęby, ująwszy się za konary, kołysały nimi nad jego głową, a jeden prawił:

— Jesteś stary, włóczysz jeszcze nogami, nie sprzykrzyło ci się! Co za upór, dziwactwo i niedorzeczność! Zastanów się sam nad dolą swoją... Gdybyś to jeszcze drzewem był, nogami w ziemię wrósł, pniem się rozparł grubym, konarami w boki ujął, a liśćmi obsypał, ha! miałbyś racyę tak długo żyć, bo stałbyś wciąż w jednem miejscu, stał i stał, pókiby cię łotr jaki nie zwalił lub pókibyś nie zgnił. Ale łazić tak wciąż po świecie... co za obrzydliwość!

Sosny ze szczytów słały mu tylko te słowa:

— Czemu się, stary, nie położysz sam we mchach i paprociach, i nie uśniesz; my cię nie obudzimy.

Gdy Izydor siadał nad brzegiem rzeki, śpiewała mu ją rzeka; fala, płynąca pod jego stopami, szemrała:

— Oddal się, stary, oddal! Minął czas, kiedym cię do łona mego tuliła, krew gorącą studząc; dziś mój chłód zabiłby cię. Idź sobie!

A gdy nie odchodził, gadały doń trzciny i łozy:

— Nie wierz jej, obłudnicy: odpycha cię, by więcej przynęcić; idź do niej śmiało, a ona cię przyjmie i od siebie nie puści, jakbyś ślubem z nią się związał.

Ptaki, zlatując na wiosnę, witały Izydora ze zdziwieniem, a jesienią wołały do niego, rozciągając sznury odlotne po niebieskich szlakach:

— Czas na ciebie! Chwyć się i leć z nami, pokażemy drogę.

Najgorzej dokuczała mu ziemia, gdyż Izydor, mając kark i głowę nachylone, wciąż na nią patrzeć musiał i ujść nie mógł jej skargom żałosnym:

— Za długo po mnie chodzisz — wymawiała mu — męczysz mnie, oddaj, coś wziął ze mnie.

A gdy z trudem głowę podnosił i oczy zarzucał pod strop nieskończoności, stara wpadała w gniew i wymyślała mu:

— Nie ujdziesz złodzieju, niecnoto! Wszystko mi oddasz, cały tu wrócisz, źdźbła ci jednego nie daruję.

Cała natura przyzywała go echami łkających dzwonów i pozgonnych pieśni, brzmiących na pogrzebie milionów istot, które po krótkiej chwilce życia oddawały ciała swe do wielkiego składu materyi, gdzie w nowem ułożeniu ich cząstek wnet trysnąć miała nowa forma życia.

I ludzie rokowali mu już śmierć blizką. Tłumy czczące go, gdyż każde tchnienie zmęczonego ciała i każdą ze swych półsennych już myśli składał jeszcze na ołtarzu ich dobra — z niepokojem głębokim oczekiwały chwili gdy go stracą. Czy stracą go? A może z krainy duchów prześle im głos swój i nocą szeptać będzie rady swe zacne i pociechy tkliwe? Niewiasty modliły się o zbawienie jego duszy, dzieci — by został świętym na pięknym obrazku, przed którym uklęknąćby można i prosić: módl się za nami!

A on? Co czuł i co myślał, czego żałował

i czego się spodziewał, patrząc w czarną otchłań grobu, który mu natura kopała?

Może miał troski, lecz nie powierzał ich ludziom, którzy na twarzy jego, zwiędłej i pomarszczonej, nic, prócz pogodnego spokoju, wyczytać nie mogli. Gdy młodzi próbowali przenikliwem okiem wyłowić z mętnych głębin jego oczów tajemnice starości, on je pokrywał uśmiechem; gdy go pytali, co sądzi o świecie pośmiertnym, odwracał ich myśli, mówiąc: »tajemnicę śmierci posiądzie ten z was, który uczyni życie swoje użytecznem«.

Dnia pewnego uczuł Izydor, iż sprężyna jego życia rozkręca ostatnie zwoje i że lada chwila ruch jej ustanie, a myśl jego umknie kędyś, na falach eteru zadrży chwilę i w nieruchomość się rozpłynie. Ah! ah! w nieruchomość, w ciszę, w chłód!

Więc gdy noc zgłuszyła ziemskie, wołające nań żałobnie głosy i skleiła powieki nad oczami ciekawych ludzi, on usunął się w miejsce ciche i puste, gdzie mógł się czuć samotnym, gdzie nikt pochwycić nie mógł jęku bólem z ust jego wydartego lub obaczyć łzy z gasnących oczu ściekłej. Wówczas to myśli swej kazał wstecz latom prze-

szłym biegnąć i zwołać na pożegnanie — ludzi, obrazy, chwile...

Gdy nieruchomy czekał na nie, pozwalając się pieścić lekkim powiewom nocy, zdało mu się, iż słyszy echo muzyki, czy śpiewu, płynące z daleka. Więc przypomniał sobie, iż nieraz w życiu swojem roił o przestrzeni jasnej i ciepłej, za gwiazdami ukrytej, skąd sądził, iż niekiedy dźwięki go dolatują. Raz, naprzykład, w chwili smutku i zwątpienia, słuch jego naprężony pochwycił słowa:

— Tyś nie był w liczbie żywych jeszcze, gdy myśmy światłem naszych myśli i ciepłem uczuć wypełnili te ciche przestworza. My, duchy zgasłe, w poczet szlachetnych cię wybrawszy, śpiewaliśmy ci pieśń narodzenia i nad kolebką twoją rozpalili zorzę poezyi, wiedzy, miłości, którą płonęliśmy za życia sami. O wybrańcze nasz! Ty nie umrzesz, a kwiaty myśli i uczuć, które w ciepłem tchnieniu naszej zorzy na glebie gorącej twego ducha urosną, kwitnąć będą zawsze między nami, i nasienie ich powróci między żyjących. Będziesz nieśmiertelny!

On wówczas słuchał z rozkoszą tych ech dalekich, czerpiąc w nich zachętę do życia, lecz teraz, wobec groźnej ciszy śmierci, głowa

starca wstrząsnęła się dumnie, a usta szepnęły:

— Myśli mi się mącą. W pustce i ciszy nocnej zdaje mi się, iż słyszę głosy, a sam jestem — sam pójdę.

Lecz nie był sam. Przed nim w rozświetlonym kręgu, trącając się ze szmerem harmonijnym, cisnęły się tłumy wspomnień jego życia. Oh! jakże czule je witał, czulej, niż matka dzieci, tulące się do jej łona! I one go witały, pieściły oczy, do uszu szeptały, przenikały do serca i piersi; pił je, oddychał niemi, płakał niemi, śmiał się do nich. Z ciemności mogilnych na świetlny obraz swego życia patrzeć!... Ach!

Nie odlatywały już. Zwarły się w szeregi, skupiły w gromady i stały ciche, patrząc nań rzewnie smętnym wzrokiem przeszłości; w dłoniach plotły wieńce z twarzy widzianych przelotnie, z obrazów, które tylko musnął kiedyś wzrok jego, a dokoła nich oblatywały szumy gotowe wyśpiewać wszystko, co słyszał przed laty.

I było mu tak dobrze, gdyż choć nie patrzał już, choć głowę znużoną na piersi sparł, czuł jednak przy sobie całe swe życie, spoglądając nań z rzewnym smutkiem przeszłości.

Po chwilce rozwarł powieki i wzrok pamięci posłał tam, gdzie mgłą lat wielu przysłonięte kończyły się sznury wspomnień. Znalazł tam takie: raz, będąc chłopięciem małem, usnął na piersi matki, rękami jej opleciony i przyśniło mu się, że ona umarła; rozżalony i smutny, zbudził się we łzach i prosił: »nie umieraj, żyj zawsze!«

— Umarła! — szepnęły usta Izydora, a pamięć dalej biegła.

Gdy chłopcem był młodym, lubił się modlić. W ciszy świątyń niewidzialne usta naszeptywały mu melodye, które były zbyt cudne, gdyż rozsadzały mu wzruszeniem piersi: sądził, iż go zabiją; pod mrocznemi sklepieniami czyjeś ręce rozwieszały widziadła tak słodkie, iż pijąc je wzrokiem, prosił: dosyć, gdyż umrę! Lecz, gdy kościół zamykano, a jego wracano życiu, wołał: ach! jeszcze — i zawsze!

— Wracały po kilkakroć, lecz raz znikły i więcej nie wróciły! — szepnął Izydor, i dalej sznur wspomnień rozwijał.

Gdy na myśl jego, w spowiciu poezyi młodzieńczej marzącą, spłynęły jasne promienie wiedzy, ocknęła się, jak ptak świtem trącony,

i wzleciała w górę, a on gonił ją coraz dalej i lotem jej się cieszył.

— Myśli moja! — mówił do siebie starzec — tyś była jak jastrząb. Bezchmurnem nad nim łonem przestrzeni znęcony ptak wzbija się wyżej i wyżej — skrzydła ma tak mocne! Lecz on już, jak kamień, spada, bez tchu, znużony, a strop nieba jest ten sam, daleki, milczący, obojętny. Ty, upadłszy, żaliłaś się przedemną: »jam sama częścią natury, czemu ślesz mnie za jej granice«, a ja — płakałem.

Zamilkł i dalej w przeszłość patrzał.

Jedna nuta tęskna odzywała się tam nieustannie, wplatając się we wszystkie echa, jakie mu pamięć teraz znosiła. Czy usta swe, przed laty, do ust kobiecych zbliżał, by z nich palącą rozkosz wypić; czy słuchał melodyi lub szumów leśnych, uroczystych głosów natury; czy w murach starych zbłąkane widma przeszłości gonił — wszędzie, dokąd słał myśl i uczucie, śladem ich biegło pragnienie nieskończoności. I wracało zawsze, zawód mu niosąc. Kończyło się wszystko! Myśl trącała o zapory, uczucie rodziło się z nasieniem śmierci. Stąd — rozpaczliwe zwątpienie i smutek omroczyły duszę jego.

Posępne były ogniwa, których pamięć jego dotykała w tem miejscu, więc przesunął je i ujął inne.

Była noc zimowa, srebrna pół, pół-błękitna, złotem u góry, przyćmionymi brylantów blaskami u dołu przetkana, a cicha i uroczysta. Nieskończoności wysłanka w drodze ku mglistym i dalekim światom spoczęła nad miastem i przeniknęła go swym oddechem; jak powiewy wiatru chwytają szumy i w dal je odnoszą, tak ona swą lekką i nieuchwytną szatą zgarniała śpiącym marzenia senne, a czuwającym ich myśli, westchnienia, słowa — i niosła je kędyś. Izydor szedł smutny, gorzki, żalący się, gdy ona wypadkiem czoło jego trąciła zdobyczy pełnym zawojem swej sukni... Stanął, z podziwem patrząc na senne, w nieruchomym uścisku stulone gromady domów, skąd niespodzianie płynąć zaczęły fale cichych dźwięków. Zdawało mu się, iż kamienne zasłony rozsuwają się przed oczami jego, niby lekkie jedwabne kotary i że wzrok jego swobodnie sięga między mury, w komnaty, izby i alkowy, jedne ciche i uśpione w gęstych tajemniczych mrokach, inne światła i głosów pełne. Z nich to dźwięki się dobywały. Była to wielka pieśń miasta, chór

z tysięcy głosów, dziwny i uroczy, gdyż nuty pełne i dźwięczne życia na jawie splatały się w nim z cichymi, jak echo, akordami sennych marzeń; było tu jednak wszystko, całe ludzkie życie, przez noc od pracy i zabiegów czynnych zwolnione. Niby rzeka w wiosennem rozlaniu płynęło ono przed nim szerokiem łożyskiem. Wielka masa wód dołem ciągnących była to masa powszednich pragnień i trosk rzeszy ludzkiej, które w wiązkach myśli przed snem gasną, a we śnie ulatują w lekkich splotach marzeń. Po wierzchu goniące się, mętne, spienione, niespokojne fale — to były udręczenia i radości, obawy, niepokoje, zgryzoty, wyrzuty, zbrodnicze pomysły, stłumione i w piersiach wrzące namiętności, zachwyty upajające serce i myśli, tęsknoty, które ręce łamać każą; były żale, skargi i błagania rzucane ludziom, Bogu i nocy — wszystko, co tym tysiącom nieznanych mu ludzi sen odganiało z powiek lub roje mar rozwieszało przed oczami ich uśpionej myśli. Izydor słuchał... a duch jego rwał jak pajęczą siatkę pęta własnych żalów i skarg i stawał się coraz to głębszym, coraz to większym, ogromnym tak, że w sobie

wmieścić mógłby wszystko, co noc nieskończoności w darze niosła!

Jeśli noce swego anioła mają, który tajemniczym rylcem kreśli na czole człowieka wielkie myśli, a serce rozwiera dla wielkich uczuć, to nocy tej anioł głęboką bruzdą poorył jego ducha i przez gorzki, trujący osad, jaki weń życie naniosło, sięgnął do drzemiących pod nim czystych źródeł i ujście im otworzył. Ze szczeliny dobył się naprzód smutek, za nim miłość i splotłszy się, płynęły tymi śladami, jakie w łożysku ludzkiego życia żłobili cierpiący i smutni. W duszach ich czytał odtąd, jak w księgach otwartych, a wyrazy cierpień na kartach ich skreślone ścierał pieszczotą serca, promieniem wiedzy, lub obłokiem poezyi. Całą potęgę swej miłości rzucał pod stopy tłumom, przysłaniając rozsiane na ich drodze ciernie ostre i kamienie. A one płaciły mu za to, składając w duszy jego dobytek swych bólów!

Z jakiemże wzruszeniem zagląda teraz do tej skarbnicy!

Jest ona tak wielką i tak wspaniałe kryje rzeczy, jak głębina morza. Na dnie jej poznaje najpierw spuściznę duchów podobnych swemu. Ich myśl dusiła się w szczelinach,

rozwartych w straszliwym mroku niewiadomości, otaczającym człowieka; ich serca przeszły po szczeblach ziemskich uczuć i zatrzymały się na ostatnim, a wciąż pełne były jeszcze miłości, która nie miała już co ukochać. W wirze powszedniego życia byli oni — ze swą myślą i uczuciem wiszącemi tęsknie u stropu nieskończoności — tak samotni i smutni, jak skały, o które fale tłuką zajadle, nie rozumiejąc, poco sterczą nad niemi te bryły wielkie i co im wskazują. Lecz czasem cały ocean duchów ludzkich kładł się, cichy i zadumany, u stóp ich i liżąc je ze czcią, wsłuchiwał się w polot myśli i pragnień olbrzymów, i w samym sobie echa tęsknicy jakiejś szukał — i znajdywał je!

Koło tych granitowych pamiątek w skromnych konchach zamknięte drzemią perliste łzy. Wyłowił je w przeźroczystych głębinach dusz, które lotem swym lękliwie kreślić mogły niewielkie i niedalekie kręgi. Oczy ich dostrzegały nad sobą odległe, lecz bardzo piękne blaski słońc, a serca — proste i szczere — były gotowe je ukochać; atoli życie odłamywało słabe skrzydła tych duchów, czepiając do nich obfitość ciężarów, których pozbyć się nie umiały. W spełnianiu zadań

ciężkich, a bezowocnych dla myśli i serca wiek ich upływał, a gdy, oglądając się wstecz, widzieli go zmarnowanym i smutnym, w skrytości pozwalali oczom łzy ronić, a ustom żalić się: »Słodko jest kochać rzeczy, których dźwięk imienia sercom szybciej uderzać każe! Szczęśliwi, których miłość przelana w czyn, spłonęła w ogniu ofiarnym na cześć słońca. Myśmy tylko z daleka przy tym stosie serca nasze grzali!«

Nie promienie ciepłe, lecz chłodny i mrożący blask dalekich świateł spadł na omroczone dusze tych, którzy, szamocąc się w siatce życia, druzgotani maczugą niepowodzeń, zawodów, upokorzeń, biedy, chłostani złością i głupotą, gryzieni we wnętrzu swej duszy przez sforę głodnych jej potrzeb — to zachłystując się z goryczy, to grożąc w bezsilnym gniewie zemstą swym losom, a na siebie ją zlewając — ślepi, nie omijali błotnistych kałuż i martwieli opasani wężowymi splotami występku! Serca ich, gdy nikt nie widział, płakały czarnemi łzami rozpaczy, zazdrości i tęsknoty!

Były duchy, które zawrotnych wyżyn nie lękały się i, śmiałem okiem w słoneczne oblicza ideałów patrząc, słały ku nim namię-

tne pragnienia. Gdyby rozpięły swe skrzydła i wzleciały, możeby dla swych braci garście przepięknych płomieni w darze od słońca przyniosły. Lecz cóż? Życie sypało im na drogę kupy obowiązków, ani zbyt doniosłych, ani mogących nasycić ich łaknienia; omijać ich nie chcieli, ani na barki cudze zrzucać i ugiąwszy dumne karki, pod jarzmo je wtłaczali; pokazywali światu twarze spokojne i zadowolone, lecz dusze ich opływały w straszliwym smutku i brzmiały pieśnią pogrzebu dla nieużytych sił. Ich łzy, w koral skrzepłe, znalazły się w skarbnicy Izydora.

Więc widzi duszę swoją jako dno morskie, na którem osiadły olbrzymie ławice niedoli ludzkiej. Kto nie zaniósł tam ziaren swoich? Nie widząc go częstokroć, niosły mu je tłumy, skarżąc się, iż są głodne, inne, że są ciemne, inne, że złe są, inne, że uczucia ich sponiewierane zostały; młodzi skarżyli się, iż życie nie ma dla nich radości, starzy — iż goryczą ich napoiło!

A on się nie skarżył! Dusza mu się łamała pod ciężarem cudzych bólów, a on niósł go troskliwie i wielbił go, gdyż ogromem niedoli ludzkiej zdławiona milkła skarga jego własnego ducha: skarga biednej myśli, bez-

silnie tłukącej się o skały mroku, przysłaniające prawdę i skarga serca, tęskniącego do nieśmiertelności!

Przyszedł do końca! Jak dziwnem się to wydaje!

Oczy starca — płonące i suche — mierzyły nieruchomym wzrokiem krąg mroku, pełny cichości posępnej — opasujący go bliżej coraz i bliżej.

Cóż należy uczynić? Otrząsnąć barki z tego, co uciskało je lat tyle, co — zda się — przyrosło do nich; porzucić skarby myśli i uczuć złożone w darze od braci i oddalić się *tam* — samemu! — i unieść z sobą tajemnicę zwątpień, którą krył całe życie, bacząc, by nigdy ich krople nie prysły w pieniące się nadzieją kielichy młodości? Więc nagle żal przeszył jego serce, żal okrutny, iż u końca nie widzi nikogo, pod czyje nogi rzucićby mógł skarb swego życia — rzucić z jękiem straszliwym i błaganiem: ulituj się!

Przykrył twarz rękami i szeptał:

— Czuję, jak w duszy mojej — pod tchnieniem śmierci — więdną kwiaty uczuć. Najpiękniejszy — miłość — osypuje z kielicha swego barwne listki. Czy pyły jego

nasienia, które rzuciłem na gorącą glebę młodych duchów, wyrosną w kwiat o woni tak ciepłej, by tchnienie jej roztopiło lody smutków, mrożące dusze tych, co żyją?

Po chwili westchnął:

— Jakże mi smutno!

A jeszcze po chwili — mówił:

— Ktoś mi odbiera i tę suchą łodygę, na której niegdyś tyle kwiatów wyrastało: smutek! Nie mam już nic!

Ciemniej i ciemniej coraz stawało się dokoła Izydora. Bez szmeru znikły ostatnie blaski wspomnień. Była już tylko noc a w głowie starca błąkała się tylko reszta niewyraźnego marzenia o przestrzeni jasnej i ciepłej, nieskończonością rozbrzmiewającej. I teraz zdawało mu się, iż gasnącym słuchem chwyta jakieś echa, przywołujące go kędyś, lecz spłoszył je, wstrząsnąwszy głową, i martwiejącemi usty — szepnął:

— Idę — sam!

W przestrzeni echo rozniosło: sam.

Nad Izydorem zamknął się krąg mroku.

* * *

Nieznana ręka złożyła na mej głowie tę wiązkę myśli gasnącego ducha, z kroplami

smutku, błyszczącemi na niej — jak rosa. Gdym odsuwał je z lękiem, by nie omroczyły mi duszy, dojrzałem ich jasną przepaskę: beznadziejność grobu nie zwalnia za życia od pełnienia obowiązków człowieka!

szkoda, [illegible] na niej — jak róża.
Gdym odsuwał je z lękiem, by ich nie omo-czyły mi duszy, dojrzałem ich jasną prze-paskę: bezwzględność grobu nie zwalnia za życia od pełnienia obowiązków czło-wieka!

— Jakże mi smutno!

A jeszcze po chwili — mówił:

— Ktoś mi odbiera i tę suchą łodygę, na której niegdyś tyle kwiatów wyrastało: samotność! Nie mam już nic!

Ciemniej i ciemniej coraz stawało się dokoła Izydora. Bez szmeru zmilkły ostatnie blaski wspomnień. Była już tylko noc a w głowie starca błąkała się tylko resztą niewyraźnego marzenia o przestrzeni jasnej i ciepłej, nieskończonością rozbrzmiewającej. I teraz zdawało mu się, że gasnącym słuchem chwyta jakieś echa, przywołujące go kędyś, lecz spłoszył je, wstrząsnąwszy głową, i martwiejącemi usty — szepnął:

— Idę — sam!

W przestrzeni echo rozniosło: sam.

Nad Izydorem zamknął się krąg szroka.

* * *

Nieznana ręka złożyła na mej głowie tę wiązkę myśli gasnącego ducha, z kroplami

CMENTARZ

Woda pluszcze u moich okien, deszcz dzwoni w szybę, powietrzne płaczki jękliwie zawodzą na stypie świata, który chmurą owinięty w kałuży zatonął.

Myśl mi uciekła do ustronnej chaty, za wielkiem cmentarzyskiem. Dokoła snują się i pełzają szare mgły, opary i dymy ciężkie, duszące. Któżby prócz smutku przyszedł ją odwiedzić? — Kołacze.

— Co powiesz, gościu, jakie nowiny z cmentarzyska przynosisz? Pewnie się gdzie krzyż jaki rozpadł spróchniały i nastraszył kruka, który lubił na nim przesiadywać. Może przybyły nowe mogiłki i nakryto niemi trupy, które nigdy nie żyły. Rozlegają się szlochy, narzekania, skargi. Stare rzeczy, stare... Ja na łzy ich nie wymieniam. Nieżywi umarłych udają, a nieboszczyki ich opłakują, kruki nie znajdują ciał, tylko mdłą zgniliznę, która im sprawia obrzydzenie, wiatr zmiata stosy próchna. Po tem pustkowiu nawet prawdziwe

mary się nie włóczą, a gdy czasem wyjdą się przewietrzyć — nie mają kogo straszyć, poznają siebie i idą spać, ziewając. Nie zaślubisz chyba mojej myśli, bo jej nie wzruszysz.

Takem gościa mego płoszył, lecz — nie odszedł. Z za dworu przywołał chóry jakichś żałosnych piskląt i rozpaczliwie rozełkanych dzieciaczków, z malutkich, jakby z bólu zaciśniętych rączek splótł wianek dokoła mej głowy i łzom kazał zarosić moje myśli. Gdym się opierał jeszcze — rozpiął za oknem muśliny mroku, odpędził wiatry, dzwonki deszczu uspokoił i w ciszy oblókł się we wspomnienie. Na jednym tułaczym odblasku światła, który w mroku utkwił i rozdzielał gromady cieniów — zakołysał się wolno, wolno... Westchnienia i szepty zagrały w mej pamięci, a na świetlanej smudze, jak na pościółce, którą trumienkę Anny wysłałem, leżała — uśpiona...

To ty, Anno? O niech się wszystkie szczeliny mego serca otworzą przed smutkiem i niech mi w nim dusza zatonie tak głęboko, jak niezmierzoną jest otchłań nicości, która mi wydarła ciebie żywą. Boś ty była żywa. Jak śmiała targnąć się na ciebie wstrętna

ręka, która w jedną rozpadlinę śmierci ciska wszystkich — trupy tych, co za życia grobem cuchną, i bogów, z jakich ty byłaś!

Ciebie niema! Marzę... Niegdyś, kiedym patrzał na ciebie, przysiągłbym, że nieśmiertelność jutrzenką różową oblewa twoje białe czoło. Niestety, słońce złoci szczyty gór lub grzbiet fali, cień blaski te ściera, i ja widziałem, jak gasły one na twojej skr ni, gdy ją całowała śmierć. Umarły moje nadzieje, bom ja wciąż myślał, że ty jedna nie uwiędniesz na tej cmentarnej niwie, i wierzył w nieśmiertelność bogów.

Wiem, że cię niema, ale czasem nie chce mi się wierzyć, żeś była. Bo i sen dobywa ze znękanej myśli uśmiechnione widma szczęścia i osłania niemi, jak tęczową smugą, głębię grobu, lub krasi wydmy życia. Czy to we śnie było, żeś ty pocałunkiem spojrzenia spijała wszystką gorycz z moich ust? Gorycz i we śnie się ulatnia, ale myśl wtedy miota się bezładnie, a nad niwą moich myśli twój oddech przelewał się powiewem świeżości i zdrowia. Słowo jedno — oskrzydlało mi duszę, a dotknięcie ust kazało wzlecieć w szczęśliwość, której żaden senby nie dosięgnął. I snów czarownych nikt nie płoszy,

ani sennych widziadeł nikt zimną ręką rozpaczy nie odziewa w godowe szaty dla poślubienia ich śmierci.

A ja ją ubrałem biało, potem leżała w trumnie, potem czeluść ziemi ją pożarła. Nienawidzę ziemi.

— O, gdybym na jedną chwilę mógł przemówić do ciebie: pamiętasz Anno?

Ciskam w pustkę te słowa i nie szept mi twój wraca — lecz echo, i nie ręce twoje zawiązują węzeł na mojej szyi, lecz żmijka tęsknoty serce mi ostrym sznurkiem oplata i żądłem je nakłuwa.

Twój szept zwałem niegdyś szmerem strumienia, którym płyną myśli z bogów najlepszego. Uwiądł zielony gaj, pod którego ozłoconem sklepieniem sączył się ten strumień, a popioły zasypały krynicę. Grzebiąc w nich myślę, że nie byłaś ty ani bladym kwiatem, który na śniegach wzrasta, ani małą iskrą, która długo pod popiołami tlić może, i pytam, kto rozpala takie wielkie płomienie na cmentarzysku, gdzie dość biega błędnych i nikłych ogników, odradzających się z błota? Tu śmierć jest tylko pozorna, jednego zakopią, a dziesięciu wypełznie na bagniska. Tu życie jest złudzeniem, gwar — ciszą, ruch —

bezwładnością, obecność tłumu — pustkowiem.

Z daleka, bo z przeszłości, słyszę, biedna, twoje skargi, które tak długo tylko, jak moja pamięć, żyć będą.

»Czemu mi zimno pośród nich, choć wesołość ich rozgrzała, czemu mi pusto tam, gdzie ich jest wielu?«

»Ich spojrzenia mnie kłują, śmiech — ziębi, mowa — obraża. Czy dusze mają zamknięte w skorupach i myślą, iż moja okryła się najgrubszą, że tak bezmyślnie, czy tak zjadliwie oblewają mi ją niechęcią! Patrz, drogi, na ich serca, jak obficie ją poczynają sączyć, gdy my się zbliżamy. Usuńmy się. Szczęśliwi są, gdy — sami, nasz widok budzi w nich straszliwą złość, która czyni ich szalonymi«.

Jakże stopy twoje zbolałemi były, gdyś już dochodziła do krawędzi, gdzie kończył się cmentarz, a poczynała przepaść mroczna i pusta. Szłaś niechętnie, wlokąc ciało wynędzniałe na karmi smutków i wracać nie chciałaś i nie śmiałaś żądać prędszego końca. Żaliłaś mi się:

»Nie tego płaczę, żem okiem przebiła zachmurzone niebo i przez szczelinę zapatrzyła

się na słońce, ale tego płaczę, żem oczów nie mogła obronić przed dymem, który je powoli wyżarł. I dziś słońce świeci, ale ja pod powieką czuję tylko ból«.

»Duszę mi obsiadły pyły i prochy, długi dreszcz wstrętu przenika mnie od nich i zdaje mi się, że z pod każdego sączy się kropla krwi. A przecież tyś ją nazywał piękną i przeźroczą i słońce chętnie składało w niej swe odbicia, ale myśmy nie bogi i nie mieliśmy takiej szaty, by jej nie przebiła kurzawa życia«.

»Chciałabym przestać patrzeć na siebie, a oglądać jeszcze coś pięknego. Tymczasem śmierć zdmuchnie razem ze mną wszystko z przed moich oczu. Jeśli słońce będzie później świeciło, to ślepi go nie zobaczą. Wytłómacz mi to wszystko, mój drogi, a jeśli nie możesz, pozwól, niech poszukam spoczynku«.

I odeszła — nie zniżając wzroku. I nie wzięła do ręki żadnego kagańca z błędnym ognikiem, żadnego z tych, którymi ludzie obdarzyć ją chcieli, obiecując, że postawią ją wysoko, byle im świeciła. Ale te płomyczki nawet zmierzchu nie rozjaśniają, a oni chcieli mieć i światło i razem noc dokoła na cmen-

tarzu, gdzie sprawiają stypy sobie. Mówili na nią: »zła, harda«, a ona była tylko żywa między nieżywymi i chciała gromadę ich wprowadzić na górę wysoką, której szczyt rozdziera ciężkie chmury, zasłaniające nieprzeliczone słońca. Ci się lękali. Czemuż więc między upiorów schodzą żywi, kiedy wracają w ciemność skrwawieni, omdlewający i tak samotni, jak przyszli?

O, gdybym na jedną chwilę mógł przemówić do niej: pamiętasz Anno?

Lecz na mowie mam więzy, i w oczach moich uczyniony został z człowieka cień, rzucony w próżnię, i został rozwiany duch, jak szmata mgły, a ja nie znajduję tego, kogobym pragnął postawić przed wzrokiem mego bólu i jego płomieniem opasać go, uścisnąć, na ustach mu podziękę złożyć — za Annę.

tarze, gdzie sprawiają ślypy sobie. Mówili mi niejedni: „zła, harda", a ona była tylko żywa między nieżywymi i chciała gromady ich wprowadzić na górę wysoką, której szczyt rozdziera ciężkie chmury, zastaniające nieprzeliczone słońca. Ci się lękali. Czemu więc między upiorów schodzą żywi, kiedy wracają w ciemność skrwawieni, omdlewający i tak samotni, jak przyszli?

Oj, gdybym na jedną chwilę mógł przemówić do niej: pamiętasz, Anno?

Lecz na mowie mam więzy, i w oczach moich uczyniony został z człowieka cień, rzucony w próżnię, i został rozwiany duch, jak szmata mgły, a ja nie znajduję tego, kogobym pragnął postawić przed wzrokiem mego bólu i jego płomieniem opasać, by ustanąć, na ustach mu przebłagać i złożyć za Annę.

STRĄCONE LIŚCIE

(WSPOMNIENIE ZE STAREJ DZIELNICY)

Liść żółty na ziemi leży. Drugi obok niego, trzeci, dziesiątki ich spoczywają pod lipą, nie dbającą o nie, kwitnącą, wonną, uśmiechającą się do słońca. Deszcze padały przez dni kilka, chłodne ranki zabiły liści wiele i strąciły je. Innym za to przestronniej. Inne weselą się. Słońcu się przekomarzają, pochwytując promienie jego — jak dzieci chwytają wodę w garść, i przelewają cienkie strugi ich na ziemię; chichoczą, gdy wiatr je zaczepi, trącają się pod bok, jak dziewczęta spłoszone, i wygrażają. Bawią się, słowem. Czasem, gdy się nachylą, dojrzą w dole punkta żółte, pociemniałe, nieruchome, niby przyrosłe do ziemi, i rzadko kiedy — jeśli wiatr się bardzo rozhula, miotane w powietrzu ruchem słabych, bezwładnych istot. Gdy liście żywe dojrzą tamte — uśpione lub tęsknie ku nim spozierające, wtedy, jakby powiew nudy je znieruchomił, poważnieją nagle i szepleniącą mową prawią sobie jakieś kazania:

»My jesteśmy na swojem miejscu, my mamy stanowiska pewne, których nikt nam zaprzeczyć nie może, i koleje życia, z których nic nas nie wytrąci. Urodziłyśmy się w porę, dojrzały w porę i w porę pomrzemy. U nas wszystko w porę. Odżywiamy się systematycznie, a myśli nasze — nieliczne — i uczucia — jednostajne — mają czas, oznaczony dla nich, i foremki wygodne. My liście porządne«. Tak szepleniąc, uspakajają obawy mętne i trwogę niesłuszną, która przez jedno mgnienie lekkim dreszczykiem je wstrząsła. Uspokojone wracają do słońca i wiatru, udają wielkie damy, które się z wdziękiem wachlują. Bawią się.

A tamte senne, bezdomne, kolei w życiu nie mające, za jakie winy strącone zostały? Nie jestże to rzeczą straszną, przyjść na świat liściem, dowiedzieć się żeś niepotrzebny i strąconym zostać. Ile żalów, ile pretensyi okrutnych, ile bólu pożerającego palić musi te listki nieruchome i milczące. Nie dziwno, że schną tak szybko.

Zdaje mi się, że widzę inne drzewo, na którem gęsto, jak liście, obsiadły myśli i uczucia ludzkie. Nastają chłody, padają deszcze i to drzewo traci liści wiele. Krążą one do-

koła mej głowy i opadają na nią z jękliwą skargą, lecz gdy im się przyglądam, nie widzę by one były najgorsze i nieużyteczne. Więc zdaje mi się, że z nich ktoś uplecie wspaniałe wieńce i złoży je kiedyś na grobie uschłego drzewa, a ludzie żałować będą strąconych i utraconych liści.

* * *

Przypomniał mi się pewien stary dom i pewien stary człowiek. Póki istnieli, istnieli razem i nie rozdzielali się, wkońcu doszli obaj do jednej furtki i obaj z zadowoleniem spojrzeli na napis, który dla domu brzmiał: zagłada, a dla człowieka: śmierć.

Dom był oznaczony tylko numerem, człowiek nosił nazwisko Baum, Netel Baum; jeden i drugi byli gratami nieużytecznymi i należeli do siebie. Ze zwyczaju mówiono, że dom jest własnością Netela, ale lepiej było powiedzieć, że Netel jest własnością domu. Dom był starszy, wyhodował Netela i zamierzał pogrzebać go w swoich gruzach.

Dom posiadał liczną rodzinę i był w tem podobny do Netela, ale rodzina domu była więcej warta, niż rodzina Netela, wyłączając chyba jednego małego Joela, który póki

był małym Joelem, był wart wiele. Rodziną domu była cała dzielnica, najstarsza i najobszerniejsza w naszem mieście. Powstała ona prawdopodobnie tak samo, jak powstają dzielnice miast na całym świecie, ale że działo się to bardzo już dawno, więc o początkach jej bytu opowiadają różne dziwy, tyle warte, co bajka o bocianie, przynoszącym dzieci, czyli powtarzania nie warte. To tylko pewne, że przyszedłszy na świat, usiadła sobie na szczycie wzgórza i siedzi tam po dziś dzień, zająwszy jeszcze i boki jego.

Można ją nazwać rodziną, ale dodać należy, że jest to wygasająca rodzina istot przestarzałych i bardzo odmiennych od pokoleń nowych. Wszyscy tu są poważni i skromni. Ich wnętrza odstraszają dzisiejszych mieszkańców mrokiem i chłodem długich, sklepionych sieni, brukowanych w dole, wązkimi i spadzistymi wschodami, obfitością ganków, oplatających piętra lub zawieszonych nad ciemnymi i ciasnymi dziedzińcami, jak mostki spozierające w przepaść. W załomach murów, pod arkadami w sieni, nad odrzwiami, we framugach okien, w łukowych niszach po bokach korytarzy błąkają się okaleczone, zatarte coraz to nowemi warstwami pobiały

wapiennej ornamentacyc i spłowiałe malowidła. Pierwsze uderzają prostotą lub pomysłem, zawikłanym dziecinną jakąś fantazyą, drugie uzmysłowiają marzenia współdziecinne, czyste i naiwne. Lecz te okruchy czyichś myśli i uczuć, te echa pogrzebanego już życia, wydają się dziś ludziom jakby niejasne i cudaczne, lub wioną na nich trwogą i zyskują życzenia by je zniszczono.

Dlatego to, z murów tych, jeśli przyjrzeć się im uważnie, przeziera rozżalenie jakieś, starcze a głębokie, płynące z poczucia tego, że nikt ich już nie lubi, wielu się nimi brzydzi, a nikomu nie upływa w nich życie tak zacisznie, spokojnie lub wesoło, jak upływało tym, którzy nie lękając się ciszy sklepień, rozpościerali je nad swą myślą czystą, niezmąconą. Taką wydawała się ona murom starym, gdy budziły w sobie zamarłe echa i opłakiwały przeszłość w milczeniu, smutku i pochyleniu starości. Roztęsknienie w nich czuć było wtedy do spoczynku i grobu, jaki zyskało życie, które wypełniało ją dawniej, i czuć było chęć usunięcia się z przed oczu tych, którzy widzieli w nich skrzydła tylko, starości widma, coraz mniej użyteczne rudery.

Te żale, tęsknoty i chęci wymownemi były

w dzień, kiedy słońce ze śmiechem wyciągało na jaw wszystkie uszkodzenia, załamania, obnażenia cegieł z pod tynku, pęknięcia — wszystko co ludzie usiłowali kleić, malować, łatać, a co nieustannie, uporczywie i jakby z woli samych murów nasuwało się oczom. Podobne były te wydrążone bryły kamienne do starców, którym podają leki, a oni je odrzucają, przeświadczeni o konieczności śmierci i stęsknieni do niej. Słońce się z nich śmiało, a one wołały do niego: »Więc proś niech nas rozwalą, o proś!«

Gdy wieczór spowijał starą dzielnicę mgłami, a księżyc nad morzem ich płynąc, urabiał ze spowiniętych w nie budowli mgliste również i olbrzymie postacie, wtedy, choć cichem zawsze, lecz przenikliwszem jeszcze i bardziej wzruszającem było wołanie murów. Zdawało się, że zaklinają one kogoś, by ich nie budził, nie kazał im żyć i nie przywoływał słońca, by światła pogasił a gwary życia stłumił. Wołały, że to nie mgły je pieszczą i tulą, lecz przyjazne tchnienia tych, którzy ich miłowali dawniej, że to przeszłość wraca i do snu ich kołysze, że one są już tylko widmem, skąpanem we mgle i cichości grobu.

Takie echa w starej dzielnicy płoszyły wie-

czorną porą przechodniów, którzy wyklinali, że ulice są ciemne, bruki na nich złe, a domy dokoła — podobne do zbójeckich kryjówek.

Lecz świt powracał, otwierając upust gwarom i ruchliwości ludzkiej, a mury półsenne z niechęcią przyglądały się znów nigdy niemilknącej i ruchliwej wiecznie fali życia i, stojąc nad nią a rozmyślając po starczemu, że była ona dawniej głęboka, głęboka i czysta, a dziś jest płytka, płytka i mętna, odsłaniały piętna swej starości, milcząco prosząc: na co my, rozwalcie już!

Między przestarzałemi dzielnicy tej dziećmi, kamieniczka Netela była zgrzybiałą babką. Nie nosiła żadnych ozdób, była żółta, nizka, szczupła. Wątłe jej ściany trzymały się prosto dlatego tylko, że je ściskały budowle wprawdzie nie nowe, lecz potężne grubością murów. Dla ludzi, którzy nie patrzyli na nią złem i niechętnem okiem, kamienna ta staruszka wzruszającą się wydawała w skromności swej starczej i przytuleniu do bark synów — olbrzymów.

Do wnętrza jej wchodziło się po kilku kamiennych schodkach. Na pierwsze piętro trzeba było gramolić się po spadzistych, jak drabina, wschodach. Kto z nich nie spadł,

ten na pierwszej platformie, u skrętu wschodów, zatrzymał się z pewnością dla przywitania dwóch wizerunków na ścianie. Jednym była głowa rycerza, drugim — króla. Każda z nich umieszczona była na niebieskiem tle i ujęta w ramkę — zielone kółko. Rycerz posiadał pióropusz i hełm, podniesiona przyłbica odsłaniała profil jego oblicza, któremu od bardzo dawna usiłował on nadać marsową minę, ale wcale nie był straszny i za życia, bezwątpienia, muchy nawet nie skrzywdził. Król, jak się każdy domyśla, nosił na głowie koronę; dwa zwoje zielonych włosów okalały jego twarz pociągłą i żółtą, a opadając na ramiona, zawijały się w dwa symetryczne kółka. Nikt nie zdoła opisać, jak ten król łagodnie spoglądał i jak niepojęcie dobrym być musiał.

Jeszcze kilka niebezpiecznych skoków i jesteśmy u Netela Bauma.

* * *

Netel stary, Netel niedołężny, Netel niemądry już, jak dziecko.

Tak mówią ludzie, ale jacy?

Był pewien łotr, Glik, szalbierz Glik lub lichwiarz Glik, jeśli wolicie. Imienia nie pa-

miętam. Otóż Glik ten, który podobnie, jak Baum, żydem był a głównie złodziejem i niecnotą, prowadził od wielu lat proces z Baumem o stary dom. Nie wiem na czem opierał swoje pretensye i zdaje mi się, że nie miał nadziei wygrania w sądzie sprawy, ale był zmorą dla domu i dla Netela, gdyż pierwszemu groził, że go kupi i rozwali, a drugiego nazywał publicznie niedołężnym i głupim.

Nic na świecie nie wywołuje tak głośnego echa, jak nikczemność. Z tego to powodu wiele ust ludzkich powtarzało, że stary, żółty dom jest zakałą dla ulicy, a Netel zdziecinniałym starcem.

Wigdor i Szloma, synowie Netela nie zaprzeczali temu, ale kimże byli Wigdor i Szloma? Były to zwierzęta złe, ograniczone i szkodliwe. We dwóch dźwigali oni na swych sumieniach więcej ludzi rozpaczą zabitych i rękami ich do zbrodni popchniętych, niż wyliczyćby mógł najstraszniejszy rozbójnik, ukarany sprawiedliwością ludzką. Wigdor i Szloma nigdy sądownie karani nie byli, to więc co czynili, czynili z takim spokojem, z taką pewnością siebie, z takim dobrodusznym uśmiechem, na jaki nie zdobyłby się żaden zbrodniarz, gdyby nie był upewniony,

że to, co robi, jest dobrem, sprawiedliwem i pożytecznem. Oni byli upewnieni o tem w takim stopniu, że uważali lichwę, zysk, zdzierstwo, samolubstwo, nienawiść za zasadę, więcej niż za zasadę, za coś jedynego, swoistego każdemu człowiekowi, o ile nie jest zwaryowanym starcem, niedoświadczonem dzieckiem lub upośledzonym gojem, za coś takiego, o słuszności czego ani wątpić nie można, ani rozprawiać, ani jej dowodzić i o niej przekonywać, gdyż wypływa ona sama z siebie i leży w naturze rzeczy. Netel np. wątpił o tem i, sam będąc całe życie tylko kupcem win, nie zaś lichwiarzem, zdolny był żałować wyrobnika, którego narzędzia rzemieślnicze Wigdor za dług niezapłacony sprzedawał. Dlatego Wigdor i Szloma, podobni Glikowi, widzieli w ojcu swoim jakieś niezrozumiałe kalectwo duszy, które niczem innem być nie mogło, jak ułomnością lat starczych.

Starym on był, nawet bardzo, gdyż dobiegał ośmdziesięciu lat, ale umysł jego nie był jeszcze kalekim. Przeciwnie, od niewielu lat dopiero Netel zrzucił z myśli swojej ciężar, który ugniatał ją w ciągu całego prawie życia, i pozwolił jej pracować zupełnie swo-

bodnie, nie dręcząc się obawą straconego czasu i korzyści. Starość przeszkadzała mu trochę w tej zapóźnionej robocie, myśli mu się wymykały i rozbiegały, męczyć się musiał, by je powiązać i światło w nich rozniecić, ale miał teraz na to czasu wiele, mógł myśleć, rozpamiętywać, rozważać i nikt nań nie wołał: »Netel, zaniedbujesz twoje kupieckie sprawy!«

Netel był kupcem win. »Byłem biednym żydkiem i musiałem się dorabiać — tak się zaczyna wątek jego wspomnień — z początku u obcych ludzi pracowałem wiele, by wyżywić siebie samego i nie miałem wtedy nic; później pracowałem dwa razy więcej, bom się ożenił; potem przybyły dzieci i musiałem pracować znów dwa razy i trzy razy więcej, ale wtedy pracowałem już na swojem. Przyszła taka chwila, że mogłem się nie troszczyć o to, co ja będę jadł, i moja żona, i moje dzieci; interes był już bardzo rozwinięty, szedł dobrze, nie godziło go się opuszczać. Więc prowadziłem dalej mój handel — uczciwy handel dobrem winem, wiedzą to wszyscy — aż do czasu, kiedy nie mając się kim wyręczyć, a sam stary będąc, sprzedałem go. Moi synowie nie mieli ochoty

do tego handlu, ich głowy pełne były spekulacyi, które przynosiły im więcej zysków, niż mnie mój handel, więc wyposażyłem ich i pozwoliłem robić, co im się podoba, a sam zacząłem odpoczywać, bo to mi się należało. Teraz, jeśli patrzę przed siebie — to widzę grób, a jeśli za siebie — to widzę długie, uczciwe, pracowite życie, a przecież nie mam spokoju... Tak, ja Netel Baum posiadam czyste sumienie, ale nie zarobiłem sobie na słodki spokój, i gdy patrzę na ten grób, i na to życie moje, to mi jest żal czegoś, i wzdycham, i chce mi się przed kimś skarżyć«...

Takby Netel opowiadał swoje życie, gdyby słowa przybywały na wołanie jego myśli i gdyby ktoś chciał ich słuchać.

Netel źle sypia. Przed zaśnięciem czytuje którą z ksiąg *Talmudu* lub gazetę, ale już i oczy jego się męczą, już i głowa bezwładnie cięży na poduszce, a sen nie przybywa. Wtedy przygasza lampkę i nie próbując zasnąć, zaczyna myśleć. Oczy jego błąkają się długo jeszcze po tem co go otacza, zanim myśl jego zaczepi o jakie wspomnienie.

Prócz oddechów śpiących ludzi nic nie mąci ciszy. Przygasłe blaski lampki, padając

na ściany, wywołują na nich w mglistem przyćmieniu stare malowidła... Na jednej ścianie odmalowana jest purpurowa, rozchylona kotara, na innej jakieś naczynie z olbrzymiem winnem gronem, dalej zielony ptak z gałązką w dziobie, dalej kwiaty dziwaczne, liście, owoce napiętrzone w stosach. W tem miejscu, gdzie rozchylają się zwoje purpurowej kotary, wisi portret Mozesa Montefiore. Kto uczcił dobrego żyda, umieszczając tam jego wizerunek? Ta, która w dziecięcym napoły i szalonym napoły wylewie uczuć swoich i uwielbień całowała siwowłosą głowę na tym portrecie wtedy, gdy Netel opowiadał jej o życiu, o wielkiem sercu i umyśle dobrego żyda. Mała, dziecięco mała rączka Esterki zawiesiła w tem miejscu stary, spłowiały wizerunek...

Od kilkudziesięciu lat Netel zna najdrobniejsze szczegóły tych malowideł i tego portretu, jak zna wszystko, co znajduje się w alkowie. Zdaje mu się, że do każdej z tych rzeczy przylgła jakaś część jego życia.

Winne grono przypomina mu podróże do węgierskich winnic. Podróże te zabrały mu niejedną chwilę życia, a w zamian dały mu tyle pięknych obrazów, że gdyby je pamię-

tał wszystkie, to teraz nie odrywałby od nich wzroku. Ale nie pamięta, czasem przypomni sobie jakąś górę porosłą lasem, to przypomina jakieś rozległe, bezgraniczne płaszczyzny, ozłocone zbożem. Pamięta, że winnice ładnie pachniały... A i to jeszcze, że w ciągu długich podróży skracał sobie czas, idąc pieszo; gdy zmęczony odpoczywał pod drzewem, na brzegu urwiska lub tylko w polu, przychodziło mu życzenie, żeby się nigdy z tem miejscem nie rozstawać, żeby nie wracać do miasta i żyć zawsze pod gołem niebem... Był wtedy bardzo młody i prędko zapominał o tych marzeniach. Teraz je sobie przypomina, uśmiecha się do nich i żałuje czemu nie widział więcej gór, lasów, równin, oblanych złocistem morzem.

Malowidła tylko spłowiały i zbladły, lecz czas je zachował. Czemuż zniszczył, zabił, istotę, która przez lat wiele patrzała na nie? Czemuż w tym domu niema już Esterki, ukochanej, jak zorza pięknej, dobrej Esterki, Netelowej żony? Czemuż choć cień jej nie został, choć obraz jej, choć ślad jej stopy, choć echo jej głosu! Gdy Netel brał ją za żonę, ona była dzieckiem prawie, on bardzo młodym chłopcem; oboje byli tak jeszcze

niemądrzy, że ani cenić, ani pojąć, ani czuć w każdej chwili nie umieli tej miłości wielkiej, jaka ich związała. W tym czasie tyle musieli pracować, iż nie mieli czasu myśleć o sobie, dość im było, że czuli się przy sobie, że byli razem. A przecież nie mogło być nikogo piękniejszego od Esterki i nie mogło być większej rozkoszy, jak usiąść przy niej, patrzeć na nią i słuchać jej głosu zapomniawszy o całym świecie. Netel pozwalał sobie czasem marzyć o takiem życiu, i zawsze odkładał je na później. Nawet nie całował Esterki, nawet jej nie pieścił, gdyż głowa innemi myślami była zaprzątnięta i czasu na to nie było. Kiedyś będzie czas, kiedyś głowa będzie nie tak skłopotana. Tymczasem on postarzał, ona straciła urodę i umarła zmęczona, spracowana.

Teraz Netel przypomina sobie wszystko: jaki był kolor włosów Esterki, i jaki był jej uśmiech, i jaką piosnkę nuciła — kołysząc małego Wigdora, i w jakie suknie się ubierała, i jakie wstążki lubiła; pamięta, że nie cierpiała Glika, że była dobrą dla małej dziewczyny sierocej, z ulicy wziętej i w domu ich chowanej. Widzi ją tylko młodą i nie może przypomnieć, jak wyglądała później,

gdy się zestarzała. Pod starczemi powiekami tkwi obraz jej pięknej główki, uśpionej na rozmiotanych po poduszce włosach; widzi jej pierś szczupłą, drobną, jak u dziewczęcia, i nierówno, pospiesznie oddychającą; dostrzega drgania, które we śnie przebiegają lekko to po ręce jej, to po piersiach lub ustach... Wszystko pamięta i wszystkiego żałuje...

»Biedna Esterko moja, któż nam wróci naszą młodość? Gdzie i kiedy wypowiemy tę miłość, o której tylko milczeć umieliśmy? Życie nasze było szare, a w rękach ściskaliśmy brylanty, które je oświecić mogły«. Takby wypowiedział Netel żal swój, gdyby słowa posłuszne były jego myśli.

Gdyby Esterka żyła, ze swych wnuków wszystkich kochałaby najwięcej małego Joela, syna Wigdora. Chłopiec ten jest do niej podobny. Posiada jej oczy, szare, żywe, odbijające ruchliwą duszę, kąpiącą się w dobroci i słodyczy; jej kształtny, cienki nosek z ruchomemi nozdrzami; czystą i smagłą cerę, która prześwieca czasem bladością, a czasem pokrywa różowym cieniem; czyste białka i źrenice; drobne, białe zęby i usta malutkie. W chłopcu tym, jak niegdyś w Esterce, coś

nieustannie kipi, rzuca nim, lub rozmarza go. Będzie tak pięknym jak Esterka, ale czy będzie tak dobrym? Myśl ta bardzo niepokoi Netela.

Czemu Wigdor i Szloma nie są tacy, jakimi byli ich rodzice? Czemu dziś jest pełno takich ludzi, jak Glik? Dawniej nie było ich tylu i jeśli rodzice byli porządnymi, uczciwymi ludźmi, to i dzieci ich były takimi. Netel nie wyobrażał sobie nigdy, żeby można było urządzić życie nie tak, jak ono było u niego urządzone, żeby można było — nie pracować. Tymczasem nagle wyrosła koło niego masa Glików, a własni jego synowie niewiadomo kiedy oswoili się z nowymi warunkami życia, pojęli je, zastosowali, dziś wierzyć nie chcą, że można żyć inaczej i są obcymi dla własnego ojca. Czy więc on, Netel winien jest temu, że synowie jego nie pracują, tylko żyją z lichwy i zdzierstwa? Jakże on miał to uprzedzić, kiedy nie wiedział jak i kiedy nastąpiła jakaś wielka zmiana na świecie. Dziś wie tylko, że wiele rzeczy mu się nie podoba. W tym domu płacz ludzki nie był nigdy skargą skrzywdzonych, a teraz Wigdor i Szloma wyrzucają za drzwi tylu biedaków, którzy przychodzą prosić, by

nie sprzedawano im za długi mienia. Jak uczynić, żeby Joel był lepszym od swego ojca? Jak uczynić, żeby Joel mógł zobaczyć góry, lasy wielkie i równiny bezgraniczne i żeby na starość nie żałował, iż nie miał czasu kochać nikogo.

Myśli Netela gubią się w jakimś wielkim niepokoju i pokrywają się żalem. Znów pragnie on skarżyć się przed kimś, »czemu starość moja nie jest zadowoloną i spokojną, czego brak było memu życiu?...«

Szabas.

Zbliża się cichy, wieczór zimowy. Zejdźmy do żydowskiej dzielnicy.

Ulica zbiega w dół po lekkiej pochyłości wzgórza. Jest prawie pusta i z każdą chwilą staje się cichszą. Czasem jeszcze skrzypną gdzieś zawiasy u drzwi sklepionych, zamykanych spiesznie, rozlegnie się łoskot zasuwanych sztab żelaznych, lub zgrzyt klucza, obracanego ręką dziewczyny, wyrostka czy starca, którzy wnet znikają. Przed chwilą było tu gwarno i tłumno; niewiadomo kiedy wszyscy zdążyli się poukrywać, a jak spieszno im było, poznać można po zapóźnionych i biegnących pędem. Twarze mężczyzn nie wyrażają nic prócz gorączkowej niecierpli-

wości i pośpiechu, zdaje się, że po jednej odbytej pańszczyźnie czeka ich druga; za to dziewczęta są rozradowane, umykają jakby je gonił mróz, którego nie lubią, czy nuda, która więziła je w sklepach, trzymają się pod ręce po dwie, trzy, cztery, wstrząsają plecami z zimna, trącają się, śmieją, biegną, zabierając z sobą resztki gwaru i życia z ulicy.

Pustka. Czemś dziwnem i niewytłómaczonem wydaje się ona dla umysłu przechodnia, zbłąkanego w tej dzielnicy. Gdzie ludzie? Gdzie życie? Czy głos czyjś potężny przebiegł tędy i odwołał wszystkich do zajęć zwykłych i zebrał ich daleko od miejsc tych, dla wysłuchania jakiejś mowy z innego świata?

Na bladem niebie księżyc, zaokrąglający się w pełnię, jarzy się srebrzysto-żółtawą jasnością. Na ulicę spada mrok pierwszy, najlżejszy, nieuchwytny; odgadnąć go można po tem tylko, że domy rysują się w czystości, jakby czyjaś ręka pościerała z nich brud, plamy, piętna zniszczenia.

Tu i owdzie przez okna widać płonące, wieloramienne świeczniki. Bogacze poczynają święcić szabas, a biedni nie uporali się jeszcze z robotą. Oto zaturkotał wóz, żyd

stary pogania gwałtownie konia. U wejścia do piwnicy jakiejś, trzech, również starych żydów, z mozołem wielkim zatacza ciężką beczkę. Spieszą się, krzyczą, spychają swój ciężar z taką nienawiścią, jakby to był wróg zabity, którego jak najprędzej ukryć trzeba w ciemności grobu. Być może, iż wstydzą się tylko pracy zapóźnionej, obrażającej święto; za chwilę będą się modlili. Są starzy, zmęczeni, spracowani, biedni, ciemni, lecz goniąc sił resztą, usiłują na chwilę jedną zatoczyć swą beczkę, w której przelewa się biedne ich życie, do szopy spokoju, a sami pobiegną do zagadkowego miejsca, świątynią zwanego i utoną w kontemplacyi wielkiej i grubej zasłony, którą ręce rabinów będą szarpały, o którą uderzać będą głosy śpiewaków. Za tą zasłoną spoczywa nieskończoność i nieśmiertelność. Więc i tych biedaków ona nęci! Więc to jej tchnienie przeleciało nad dzielnicą, zgasiło życie, zdmuchnęło nikłą piankę codziennych i nędznych ziemskich zabiegów. Ah! ah! Netel modli się również, i mały Joel także. Czy ręka rabina i głos śpiewaka uchylą przed nimi choć rąbek, maleńki rąbeczek zasłony, okrywającej wielką jasność, niepojęte

szczęście, słońce tak piękne, jak ich życie jest brzydkie!

Ulicę zamyka mały, kamienny mostek, wsparty na jednej, nad wązką rzeczułką przerzuconej arkadzie. Dalej jest jeszcze kilka domów, uszeregowanych poprzecznie do ulicy, u podnóża wzgórka, którego boki obnażone, czerwieniejące gliną, przezierają między murami domostw. Na szczycie wzgórza — kościół stary, stary.

Słyszycie? Znów czyjść głos wzywa do modlitwy. Cichy, srebrny głosik pękniętego dzwonka uprasza by odmówiono wieczorną modlitwę. Czy z tego wzgórza widać nieskończoność? Wejdźmy tam.

Widać miasto i zachód. Pod gorejącym na połowie nieba zachodem leży miasto, to jest ogromna masa okruchów, bryłek, odłamków kamiennych. Zdaje się, że w tem miejscu strzaskano skałę i szczątkami jej obsypano wzgórze jakieś i podnóża jego. A zachód jest ze złota, więc ciężki niezmiernie, i coraz niżej, niżej nawisa nad miastem; już chmury ozłocone nalegly ciężko na mury i kilka wieżyc, które, zdaje się, iż podpierają całą kopułę. Za wieżycami temi jest tło ogniste, a one same czarne, i im więcej przy-

gniata je zachód, tem one wyższemi i potężniejszemi się stają. Pod niemi miasto zapada powoli w jakąś otchłań, dłoń mroku przeistacza je z dzieła rąk ludzkich w marę bezcielesną i pociąga je kędyś w dół. Coraz mniej już rozpoznać można dachów, ścian, kominów, murów — coraz więcej wyrasta widm, spowiniętych mgłą. Jeszcze chwila i dla złudzeń dziennych następuje koniec: niema zachodu, niema miasta. U stóp naszych zebrało się wiele mglistych, nieforemnych postaci, które przytulają się jedne do drugich, opierają się na sobie, tłoczą się, zlewają w jedno... Las się nam wtedy przypomina, spowijany rękami wieczoru na sen cichy...

Ach, zejdźmy stąd, czyjś oddech żałosny i tęskliwy przeleciał nad miastem, nad wzgórzem i niepokojem owionął duszę...

Ulica ożywia się na chwilę. Z wązkiego zaułka prowadzącego do bożnicy, wysypuje się tłum czarnych postaci i szybko topnieje, rozprasza się po dzielnicy, zatrwożywszy usypiające domy echem głośnego szwargotu.

Zostają tylko dwa ciche cienie, które posuwają się bardzo wolno w mroku pod murami i przybierają kształty człowiecze wtedy,

gdy ominąć nie mogą blasków księżycowych lub promiennego kręgu dokoła latarni.

Czemu Netel i Joel nie spieszą z powrotem do swych ognisk domowych, czemu idą tak wolno, jakby coś ich odpychało od miejsc, do których dążą, a zatrzymywało ich u tych, z których wracają?

Bo dusze ich są rozmarzone modlitwą i śpiewem i oderwały się na chwilę od świata, w którym więdną. Usłyszeli w jakiemś ukryciu ich duchów zrodzony dźwięk, który w powszedniej piosnce życia wcale się słyszeć nie dawał i pragną w tej chwili, by dźwięk ten w słuchu ich nie zamierał i przywołał inne, równie piękne. Dlatego nie spieszą się z powrotem do domu, idą wolno i obierają najdłuższą drogę.

Domy, które mijają, podobne są do brzękliwych uli, ogarniętych we wnętrzu płomieniami, które łuną dobywają się z okien. Zamknięte w nich roje istot ludzkich sprawiają taki gwar, taki hałas, jakby to były pszczoły strasznie wylękłe i mające wszystkie wyjścia przed sobą zamknięte. Joel, przechodząc koło okien, zadziera główkę i ciekawie szuka tych spłoszonych pszczółek, lecz dostrzega tylko czapkę, trzęsącą się na czyjejś głowie, lub

czepek, który zdaje się, iż sam biega, lub ułamek jakiegoś przedmiotu, trudnego do odgadnięcia. W brzęku pszczół Joel pochwytuje słowa modlitwy lub śpiewu, czasem słyszy tylko odgłosy kłótni, swarów czy też krzykliwej rozmowy. Są to zwrotki powszedniej, dobrze mu znajomej piosnki, którą nauczył się już rozumieć, gdyż przysłuchuje się jej codziennie.

Szeregi kamienic, ogniem we wnętrzu wypełnionych, kończą się u wejścia do ciasnego i ciemnego zaułka, który wyprowadza Netela i Joela na drewniany most. Pod mostem starym, przegniłym snuje się lodowa wstęga rzeczki. Nad brzegami jej czepiają się parkany wysokie, a stare, krzywe, chwiejne i ku ziemi ciążące; domostwa, których ściany rozpełzają się w strony różne; budynki dziwaczne, szopy jakieś czy spichrze drewniane, natłoczone bezładnie, podpierające się wzajem, a tak za brzeg przechylone, że zdaje się, iż lada chwila runą i masą próchna zasypią rzeczkę. Jak kupy desek kędyś w kącie porzuconych, zapomnianych, przez czas poczerniałych i gnijących powoli, tak te gromady walących się budynków czekają, by

je uprzątnięto, a tymczasem przytułkiem są nędzy.

Teraz, gdy mrok nastąpił, ukazują się w nich szczeliny ogniste — malutkie, czerwienią świateł gorejące okienka — i opowiadają o czyjemś życiu tak biednem, tak czarnem, tak zapomnianem, jak jego schronienie.

W rzeczkę wysypuje się, zrzuca, spycha — wszystko, czego nędza nawet zużyć nie może. Czarne, przemarzłe, wielkie jak wzgórza, kupy śmiecia spoczywają na lodowej powłoce. Rzeczka pod niemi znika, one ją pochłaniają, nie starczy wody by je zatopić, niema prądu, któryby je uniósł. Czekają uprzątnięcia swego, jak domostwa nad niemi, a tymczasem sterczą i piętrzą się na sobie, niekształtne, rozpłaszczone, jak istoty wstrętne, zdjęte wstydem, że ukryć się nie mogą. Wąziutka tylko wstążeczka lodu wolną jest i kapryśnymi zwroty omija nieczystość.

I lód ten jest brudny, lecz księżyc obsypuje powierzchnię jego brylantami.

Netel i Joel zatrzymują się na mostku.

Ile razy przechodzą tędy wieczorem, muszą choć na chwilę oprzeć się na wątłej, drżącej pod ich naciskiem baryerce i rozej-

rzeć się dokoła. Może każe im czynić tak jakaś istota niezmiernie dobra i piękna, choć niewidzialna. A może tylko cisza tych miejsc i księżyc.

Cisza i księżyc panują tu, choć dziwnem się wydaje, czemu te wybrzeża nędzy pieści cisza, a nie jęk lub głośna skarga, czemu całuje je księżyc, a nie ogarniają ciemności! Małe, nizkie domki nie zasłaniają tutaj olbrzymiego stropu, po którym płynie krąg, blado świecący. Joel przygląda się temu kręgowi, i bezdennej, posępnej głębi, w której on pływa. Tam cicho, a w domach ludzkich gwar taki.

I tam cicho, dokąd zdąża wstęga lodu. Robi ona jeden zwrot, potem drugi, potem przesuwa się pod czemś, co jest białawe i niewyraźne, potem zaślizguje się pod mgły i znika. Co to jest to białe pasmo? Joel nie może sobie przypomnieć, dotyka leciutko czarnego, zgiętego na baryerce, łokcia dziadka, drugą rękę wyciąga i wskazuje:

— Co to jest?

Netel długo szuka przedmiotu owego w przestrzeni.

— To jest mur... dom tam był — zwalony już.

Mur. Joel widzi go teraz wyraźnie. A za murem wie co jest: mgły spoczywają na polach, gdyż miasta już niema, i są białe ze śniegu wzgórza — niepodobne do tych, jakie widzi się latem.

Netel nie myśli o wzgórzach. Wzrok jego dostrzegł nikły snop światła, padający na kupę gnoju i śmiecia — czerwony blask szabasowy, który, wydarłszy się z małego okienka, bez wstrętu dotknął nieczystości. Ten blask niepokoi starego żyda, a potem wzruszać go zaczyna.

Netel patrzy na ozłocone śmiecie, na brylanty, rozrzucone po zabłoconym lodzie, i zdaje mu się, że to czyni sam Jehowa, który tak jest dobrym, że pozwala w bożnicy modlić się nie tylko bogatym i możnym, lecz i wyrobnikom i sługom ich najbiedniejszym. Netel pragnąłby wypowiedzieć swoją myśl Joelowi, lecz brak mu słów, więc trąca go tylko tak lekko, jak przed chwilą wnuk go dotykał, i wskazuje mu kupę ozłoconą, cienie i blaski, układające się na lodzie, potem głaszcze ręką jego ramię, dotyka jego głowy i milcząc pieści ją długo okiem.

I odchodzą. Znów idą tak wolno, jakby

im żal kogoś czy coś opuszczać i jakby się lękali tego, co ich pociąga. Pociąga ich wielki, nieprzeparty prąd, który starców unosi do grobu, karmiąc ich żalami, a dobre, dziecinne serca topi w odmętach nienawiści i samolubstwa.

Netel już umarł, a mały Joel dziś jest Jonasem Baumem, lichwiarzem. Wejrzenie jego posiada zawsze tyle słodyczy, ile jej było w oczach Esterki, ale dusza jego pełna wzgardy dla... strąconych liści! On sam jest krzepkim liściem, który przed nadejściem zimy — nie spadnie.

Stary dom rozwalono.

WIOSNA

im żal kogoś czy coś opuszczać i jakby się lękali tego, co ich pociąga. Pociąga ich wielki, nieprzeparty prąd, który starców unosi do grobu, karmiąc ich żalami, a dobre, dziecinne serca topi w odmętach nienawiści i samolubstwa.

Netel już umarł, a mały Joel dziś jest Jonaszem Baumem, lichwiarzem. Wejrzenie jego posiada zawsze tyle słodyczy, ile jej było w oczach Esterki, ale dusza jego pełna wzgardy dla... strąconych liści. On sam jest krzepkim liściem, który przed nadejściem zimy — nie spadnie.

Stary dom rozwalono.

Szara płaszczyzno życia, ciebie do najsmutniejszej pustyni porównać nie można. Na pustkowiu stepowem i wśród morza piasków i na pustyni wód oko spotyka rzeczy wielkie, zjawiska wspaniałe, które duszę lękiem lub zachwytem napełniają: ty jedna tylko możesz zatopić ducha w nudzie bezgranicznej lub obojętności. Ty jesteś jak te moczary grzązkie, wśród których wędrowiec, wlokący się leniwie, patrzy tylko na to miejsce, gdzie ma postawić nogę, a gdy z trudem wyciąga ją z więzów czarnego błota, już woda zalewa ślad jego kroku, już gotowa pułapka dla innych, niedoświadczonych. Idzie przechodzień taki z głową opuszczoną, oko jego nie wybiega naprzód, nie widzi nic nad małe kępki trawy i czarne doły, napełnione wodą, piersi jego nie podnosi mocny, głęboki, orzeźwiający oddech, uciska ją tęsknota. Albowiem — rzecz to wielce dziwna — nie-

jeden z wędrowców pieści w swej duszy obrazy zgoła niepodobne do tych, jakie oko jego napotyka. To marzy o górach porosłych lasem i przeglądających się w czystem zwierciedle morza, to śni, iż cała przyroda odbrzmiewa odgłosami gniewnej burzy, niby echem stoczonej w jej łonie walki, to goni myślą obraz jakiejś łąki, kwiatami zarzuconej, nad którą ulatują łagodne, wonne powiewy. Jakże smutną jest chwila, kiedy obrazy te, przedmiot jego tęsknoty stanowiące, rozwiewają się u kresu wędrówki niedotknięte — niezniszczone...

Przebyłem życie — wzdycha wówczas przechodzień — i widziałem wciąż jedne i te same rzeczy i zjawiska, powtarzające się ze straszną jednostajnością, dziwnie małe rozmiarami i siłą, rozpostarte na jednym poziomie. Stąd to pochodzi, że życie wydało mi się grzązką, szarą płaszczyzną.

Gdy patrzę teraz na nie, jak na rozwiniętą do ostatniego zwoju wstęgę, przypomina mi ono również tę chwilę w lecie, kiedy uznojony kładłem się w trawie i okiem do połowy przymkniętem patrzałem na malutką, rozpostartą przedemną cząsteczkę świata. Było tam kilkanaście źdźbeł trawy, po któ-

rych uwijały się drobne robaczki. Pnie się taki robaczek po źdźble wiotkiem i uginającem się, pnie się do góry, przybywa na sam szczyt cieniuchny i — spada, lub — spada, dotarłszy tylko do połowy źdźbła. Z początku patrzałem na to z ciekawością, zajmowało mnie pytanie — kiedy robaczek spadnie, mówiłem do siebie: oto i tutaj dzieją się dramaty, a może tragedye, wprędce jednak powiew nudy zakleił mi powieki i przy brzęku, który wydawały małe skrzydełka muszek i komarów — zasypiałem. A kiedy, po przebudzeniu, pierwsze spojrzenie moje znów się zanurzało w tym światku traw, mchów, listków opadłych i owadów przechadzających się po wiotkich źdźbłach — opanowywał mnie nagle gniew i porywałem się z niecierpliwością ogromną na nogi. Pilno mi było podnieść się, rozejrzeć dokoła i odnaleźć szeroki widnokrąg. I wtedy to z większem, niż kiedykolwiek rozradowaniem, patrzałem na wszystko. Nigdy głębszym nie wydawał mi się strop niebieski, nigdy słońce promienniejszem i każdy przedmiot, zatopiony w mgle sinej, na krańcach widomego mi świata bardziej ponętnym. Wesele wlewało się do mojej piersi wraz z wonią lasu, z słodkim zapa-

chem łubinu i kwiecia łąkowego. O, jakżem się cieszył wówczas, że mogę głowę moją podnieść parę łokci wyżej nad trawnik... I cóż z tego? Wszak niebawem położę ją niżej jeszcze — pod darnią... Jeśli jest ktoś w wszechświecie, co spełnia pragnienia zrodzone z wielkiego bólu, to jabym pragnął spocząć tak głęboko, aby mnie nie dotknęły korzonki wiotkich traw i nie dosięgły małe robaczki, jakim przyglądałem się za życia.

* * *

Stare kasztany rozpięły nad ziemią w kształcie kopuł, zasłony, ułożone z ciemnych, wielkich liści, niby setek otwartych wachlarzów. W chłodnym cieniu, na ziemi oddychającej wilgocią, stoją jedne naprzeciw drugich szeregi kamiennych grobowców i pomników. Mauzolea, kapliczki, grube marmurowe lub ciężkie żelazne krzyże, kolumny nadłamane u góry, strzeliste wieżyczki gotyckie, sarkofagi i obeliski z popiersiami, niewiasty kamienne, pochylone nad łzawnicami, z lilią lub liściem palmowym w ręku, anioły z trąbą archanielską i gwiazdą we włosach rzędem są ustawione po obu stronach szerokiej, pia-

skiem usypanej ulicy i tak blizko jedne drugich, iż płyty grobowe i kraty żelaznych ogrodzeń stykają się ze sobą, nie zostawiając piędzi ziemi, na której rozpostrzecby się mogły wolne trawy, swobodnie i szeroko rozrosłe krzewy lub kępami wzrastające kwiecie.

Do grobów tych wiosna nie ma przystępu, ubiera je tylko ręka ludzka. Wyzłaca ona napisy, stawia posągi, rozwiesza wieńce ze sztucznych kwiatów, bluszczem marmurowym oplata strzaskane kolumny, kamiennemi różami przystraja płytę nagrobka i z symetryą wielką rozstawia na niej wypieszczone krzewy i kwiaty. Ładne są te ogródki i gaiki czystością połyskujące, wonne, uśmiechnione. Pięknie wygląda biały marmur okolony strojną, delikatnymi odcieniami mieniącą się zielenią. Na grób patrząc, zda się, iż widzisz białą twarz kobiecą, którą nawet łzy perliste stroją, a wdzięki jej szata żałobna podnosi.

Ale czy jemu, biedakowi, nie ciężko pod marmurem? Czy nie nazywa on szyderczą — tej ręki, co na piersi położyła mu kamień, a na kamień ciska kwiaty?

* * *

Dziś tak ciepło. Patrzcie, stróże poroztwierali drzwiczki żelazne u pieczar grobowych. Nie na oścież — broń Boże — je otwarli, tylko do połowy — niech się trochę przewietrzą zatęchłe izby nieboszczyków.

Czy mnie tylko smutnemi wydają się te więzienia umarłych? Zaglądam do jednego z najwspanialszych i widzę, jak z trumny pyłem przysypanej wystaje pożółkły, zbutwiały rąbek niegdyś białej, panieńskiej szaty. Biedna dziewczyno, dawno już trwa niewola twoja, a może ty jeszcze za życia, w złotej klatce zamknięta, tęskniłaś do swobody. Żal mi ciebie, jeżeli tobie milszą rosa, którą zimny ranek otrząsa z gałązek brzozy, niż łzy krewniaków. Oni ciebie teraz jeszcze uważają za swoją własność, a ty więcej niż do nich tęsknisz może do — ziemi i ciszy.

Zbliża się stróż więzienny... ach! nie — cmentarny. Zawszeć jednak spełnia on smutną powinność... Człowiek ten patrzy na mnie przychylnie i zachęcająco, jakby chcąc powiedzieć: cieszę się, że się przekonałeś, jakie kosztowne trumny i jakich zacnych nieboszczyków trzymam pod kluczem, widzisz, iż zasługuję na zaufanie.

Dziwny świat, gdzie trzeba pilnować umarłych, by nie uciekli, czy też strzedz, by żywi ich nie okradli.

* * *

Szukam powagi śmierci w sztywnych, zimnych grobowcach bogaczów, z namaszczeniem odczytuję napisy tak wyraźne i błyszczące, iż niemal wykłuwają oczy. Czy one istotnie mają na celu obudzić u przechodnia tę szczególną litość, jaką we mnie obudza biedak, z którego śmierć nawet nie zdarła przylepionej do niego etykiety, wskazującej wartość jego w obliczeniu na monetę ludzkiej opinii. Za wiele jednak — prawdę mówiąc — jest »najlepszych ojców«, a za to »szlachetnego fabrykanta« znalazłem tylko jednego. Może ten nieborak pragnąłby obiema martwemi rękami zedrzeć z siebie napis — chyba... szyderczy.

Wiosna z dzielnicy bogaczów już wypłoszona. Nie mam tu co robić, nie przyszedłem przecież po to, aby ubolewać nad pychą i głupstwem ludzkiem. Idźmy tam, gdzie mniej ozdobnych grobów a więcej drewnia-

nych krzyżów. Oto już niedaleko mur zieleni nieprzebity okiem.

...Dziwne, zastygłe morze. Otacza cię ono ze wszystkich stron, przelewa się nad głową, rozstępuje się przed tobą i znów cię ogarnia. Poruszasz się we wnętrzu jakiejś wydętej fali, przeświecającej od strony słońca pysznym, szmaragdowym blaskiem.

Wtem fala pęka, z odsłoniętego błękitu swobodnie zlewają się potoki jarzącego światła, a w dole rozsypują się drobne, zielone zmarszczki, to szeregi małych darniowych mogiłek, niby pierwsze rodzące się fale, które wiatr podejmuje na powierzchni wody. W głębi fale te znów rosną i jedne na drugie się wspinają, po kępach ziela na nizkie zarośla bzów, róż i jaśminów, i wyżej — na tuje i świerki młode, a potem — już potężne, zbałwanione przelewają się po wierzchach klonów, wierzb i kasztanów, bryzgając zielenią aż na szczyty topoli strzelistych.

Na grzbiecie wysokiej akacyi jedna taka fala się złamała i tak — złamana, pianą białego kwiecia okryta — w powietrzu zawisła. Jakaż woń bije od niej!

W morzu tem spoczywa zatopiony cmentarz. Krzyże, krzyże, krzyże wychylają się

zewsząd, ale ogromnie wiele ich znikło pod osłoną zielonych fal, które je zalały, wspięły się nad nimi i zastygły. Gdzieniegdzie rozstępując się, ukazują na dnie gromadę małych krzyżyków. Czasem wzburzą się, zakołyszą, zaszumią nad cmentarzem.

Otuliły go, uśpiły.

* * *

Na niebie — niby błękitnej wodzie, unosi się biały łabędź — obłoczek. Za nim uganiają się powłóczyste pasma mgieł, podobne niekiedy do tych śladów srebrną łuską nasadzonych, które za łabędziem ciągną się na wodzie. Pochwycony przez mgły, obłoczek nabrzmiewa, ciemnieje i roni grube, rzadkie łzy, które cicho spadają i giną wśród drzew. Raz po raz mgły i obłoczek przelatują przed słońcem, a wtedy po cmentarnej zieleni gonią się światła i cienie.

Wtem zieleń wszystka się omroczyła. Chłodny podmuch zgasił światła i blaski na cmentarzu, ptaki w połowie urwały swe piosenki. W górze wielki obłok zapłakał rzęsistym deszczem. Gdy ominął słońce, ono w łzach jego tęczowe blaski rozpaliło — i znów roz-

koszny, ciepły, promienny uśmiech rozlał się po cmentarzu.

Od mokrych dróżyn podnosiły się lekkie, sinawe dymy, które roztrącały się o sklepienia drzew i zaczepiały się o gałęzie. Wilgotna zieleń śmiała się drżącymi, srebrnymi połyskami. Akacye pachniały tak, jakby miały duszę i całą ją oddały w woni swego kwiecia...

* * *

Na jednej z ustronnych dróżyn zarośla drogę mi zastąpiły.

Dziwne to było miejsce. Wszystko dokoła zdziczało. Dołem cisnęły się olbrzymie pokrzywy i nieprzetrzebione kępy zielska, nad niemi krzewy wybujałe splotły się w gąszcz nieprzedarty. Róże powyrastały ogromne — wysoko nad głową widziałem gałązki ich kwieciem okryte; jaśminy nie ustępowały miejsca bzom rozrosłym jak drzewa i wespół z nimi dusiły splątanymi konarami akacye usychające i już pożółkłe — i z gąszczu tego tylko dwie niewysokie topole unosiły ku górze rzadkie, zielone wiechy.

Gaj ten cały pachniał i przesypany był kwieciem — zewsząd niby tysiące oczek pa-

trzały na mnie blade, niepełne różyczki, żółtą mające źrenicę — i cały odbrzmiewał nieustannym, ogłuszającym świergotem ptactwa.

Żadna drożyna do wnętrza jego nie wiodła i tylko w szczelinach, między gałęziami, przeglądały tu i ówdzie ramiona krzyżów pochylonych, łamiących się pod ciężarem splotów różanych lub w objęciu bzów. Wiele już spróchnieć musiało, wiele obaliło się — z pokrzyw nie jedno ramię się wysuwało, drewniane, szare, wypłowiałe.

W zaroślach zabielało coś niby ułamek płyty. Gałązki odgarniając przedarłem się do niej. Nad czyimś grobem zapomnianym i opuszczonym róże altanę uplotły i sypały na niego listki swoich kwiatów.

»Wielki żal zostawiła po sobie ta dusza święta« — tak przemówiła płyta — napisem spłowiałym i wpół startym — gdym liście z niej otrząsnął. Ach! wielki żal... Dokoła z hałasem uganiają się wróble, wiatr pokrzywom kłaniać się każe, drzewa duszą jedne drugie, krzyże próchnem użyźniają ziemię... Wielki żal... powiedz »duszo święta« czyś ty odchodząc bardzo trwożna i smutna była, czyś może wtedy ściskała czyjąś żywą dłoń

i tak bardzo, bardzo żal ci było gdyś już w swoich nie miała siły jej utrzymać? Czemużeś wtedy dokoła tej dłoni miłej nie oplotła jakiej lekkiej niewidzialnej nici, której koniec wzięłabyś z sobą — na tamtą stronę. Teraz gdybyś nić tę targnęła, onaby przywiodła na grób twój miłego, upragnionego człowieka. A może — może tyś nić tę uwiązała, a ów żywy ją... zerwał?

Nad tym zapuszczonym gajem unosi się wiele nici potarganych, które wiatr — niby jesienią pasma pajęcze — rozwiewa i czasem o obce, zimne ręce zaczepia. Nie umarli je pozrywali — ale żywi.

*
* *

Zbliża się wieczór cichy, rozpogodzony.

Ciepłe, wonną wilgocią nasycone powiewy przelatują nad cmentarzem, zaledwie trącając liśćmi. Słońce niebawem już zapadnie za mur cmentarny, światła pomiędzy drzewami przesuwają się powoli ku górze. Tu jeszcze smuga złota nakryła okwieconą mogiłę i wolno ześlizguje się z niej, uchodząc między rzadkie, wysokie źdźbła trawy; tam gałązka akacyi świeci, jak pasmo złotej koronki, a cień zdra-

dliwie się do niej podkrada i blask jej znienacka zdmuchuje. Ówdzie płomień słoneczny pieści się z białym, marmurowym krzyżem, lecz i po jego śladach pełznie ten sam cień szary.

Pod kopułami starych kasztanów wielkie nagrobki już usnęły. Kamienne postacie czuwające na grobach w mroku wydają się lżejszemi, zda się iż wnet oderwą się od swych podstaw i ulecą — lekkie, nieujęte.

Najdłużej żegna się dzień z miejscem ogołoconem z drzew, na samym skraju cmentarza, gdzie na starych, zapadłych mogiłkach leżą pokotem świeżo ścięte trawy. Siano tu pachnie, łąka się przypomina. W poblizkich krzewach ptaki się nawołują oderwanymi, cichszymi coraz głosami.

Wreszcie cmentarz usypia. Sen to spokojny, głęboki, cichy, nawiany przyjaznym oddechem wiosny. I głowa wolno opada na piersi i myśli zbiegają do spokojnego, czystego łożyska i takby się pragnęło nie wracać więcej, nie wracać *tam*. Lecz oto jakieś niewidzialne dłonie popychają nas do wyjścia, a usta czyjeś szepczą: Żywi nie powinni kosztować spokoju umarłych — przed czasem.

dziwie się do niej podkrada i blask jej znienacka zdmuchuje. Owdzie płomień słoneczny pieści się z białym marmurowym krzyżem, lecz i po jego śladach pełznie ten sam cień szary.

Pod kopułami starych kasztanów wielkie nagrobki już usnęły. Kamienne postacie czuwające na grobach w mroku wydają się lżejszemi, zda się iż wnet oderwą się od swych podstaw i ulecą — lekkie, nieujęte.

Najdłużej żegna się dzień z miejscem ogołoconem z drzew, na samym skraju cmentarza, gdzie na starych, zapadłych mogiłkach leżą pokotem świeżo ścięte trawy. Siano tu pachnie, łąka się przypomina. W pobliskich krzewach ptaki się nawołują oderwanymi, cichszymi coraz głosami.

Wreszcie cmentarz usypia. Sen to spokojny, głęboki, cichy, nawiany przyjaznym oddechem wiosny. I głowa wolno opada na piersi i myśli zbiegają do spokojnego, czystego łożyska i takby się pragnęło nie wracać więcej, nie wracać już. Lecz oto jakieś niewidzialne dłonie popychają nas do wyjścia, a usta czyjeś szepczą: Żywi nie powinni kosztować spokoju umarłych — przed czasem.

JESIEŃ

Rozżalonym i wątpiącym duchom szepcze dobre natchnienie przez słodkie i wonne usta niewidzialnych wróżek (gdy wieczór niesforne wrzaski życia uciszy):

»Przybliż nikły strumyk twego życia ku potokom wielkim a szumnym, które niosą ze swą falą miliony istnień, podobnych twemu. Gdy duszę ci napełnią echa ludzkich radości i smutków, olbrzymią się ona stanie i zapomni, iż pragnęła szczęścia dla siebie!«

Te same wróżki szepczą zmęczonym duchom w wieczorną godzinę:

»Czy nie słyszysz, jak koło ciebie płynie cichy prąd, z którego falą mieszają się istnień miliony? Lecz stamtąd odgłos radosnych i smutnych krzyków dojdzie ucha twego, jako akord daleki i stłumiony, czasem tajemniczy, wzruszający i słodki! Pozwól natu-

rze barwami oczy twe pieścić i słuch echami ukoić: dusza twoja stanie się wtedy tak spokojną, jak jeziorna toń w czas bezwietrzny!«— Czy na długo spokój taki, dobre wróżki — nie chcę pytać...

I.

Przestałem już liczyć dnie spędzone w tej ustroni. Las temu winien, gdyż śpiewa nieustanie jakąś senną kołysankę, która ubezwładnia mi myśli; czasem chcą się one zerwać i umknąć w niepokojem wrzące przestworza, lecz pieszczota słodkich dźwięków układa im skrzydła do spoczynku i pozwala tylko — marzyć...

Dzisiaj stało się to, com od dawna już czuł, że się zbliża: oto przybyła jesień. Jak cicho lecieć musiał ten powiew wiatru, który ją w nocy przyniósł, że snu mi nie spłoszył! nie głośniej od śmierci, gdy przybywa ostatni oddech z ust ludzkich wypić. Ten wiatr chłodny z ust lata go wypił.

Parę godzin brak było do południa, gdym, z ganku ogarniając okiem niebo, polanę i las, odnajdywał we wszystkiem ślady nocnych gości. Niebo było blade i bezchmurne, tylko

południowa jego strona, lekko omglona dokoła słońca, zbielała w świetle jaskrawem i wzrokiem moim wywołany, z za lasu wypłynął na chwilę biały obłoczek, podobny do szczypty srebrzystego puchu, lecz szybko stopniał, nie zostawiając śladu. Wiatr przynosił skądsiś rzadkie, sinawe dymy, które unosiły się krótką chwilę przed lasem, a roztapiając się między drzewami, uwidoczniały w smugach promienie słoneczne, ukośnie kłujące zielone masy liści i ciemne pęki sosnowych igieł.

Po obydwóch stronach wązkiego, piaszczystego pasma drogi, przecinającej polanę, na przestrzeni, zastępującej dziedziniec i porosłej drobną trawką, rozlały się wielkie, szarożółte plamy. Barwa ta opowiadała o śmierci roślin. Była ona i pod opłotkami, we wszystkich miejscach nieocienionych.

Wnętrze lasu, przeglądające poza ścianą brzóz i dębów, wyciągniętą wzdłuż pasma drogi, wydało mi się czyściejszem i pogłębionem, jak gdyby czyjaś ręka przerzedziła gęstwinę drobnych, nizkich zarośli, czy też tylko pootrząsała z nich wiele liści. Nieprzeliczone szeregi młodych sosenek wystąpiły wyraźnie z głębiny leśnej. Gdzieniegdzie roz-

sypane były migotliwe, szmaragdowe światła, drżące na liściach leszczyny. Z prawej strony kilka brzóz, wypchniętych przez iglaste zastępy w pierwsze szeregi, nizko opadającemi gałęźmi zasłaniało cały pożar szmaragdowych płomieni, a one, świecąc przez gęstwinę liści, udzielały im cudownie świeżej, jaskrawej, wiosennej barwy. Lekki a nieustanny powiew wiatru niepokoił liście, czyniąc z nich zasłonę utkaną z ruchomych, w drżenie wprawionych cząstek. Fale migotliwych błysków i srebrzystych iskier przelewały się po niej co chwila.

A ponad tem wszystkiem panował jeden szczyt drzewa, które w samym kącie polany kryło się do połowy między rozłożystymi dębami, strzegącymi z tej strony wejścia do niej. Szczyt ten był obcy wszystkiemu, co dokoła niego śmiało się letniemi, świeżemi barwami. Była to rozwiewna, wysoko nad wierzchy sosen i dębów wzniesiona kita brzozy, cała oblana krzyczącą, płomienną barwą. Każdy listek jej odbity był wyraźnie na bladem niebie. Podobną była do wielkiej, bez dymu płonącej pochodni, którą niewidzialna ręka trzymała nad polaną. Sygnał

ten, smutny i samotny, wołał: »Jesień, jesień, jesień!«

...Szedłem leśną ścieżką zdziwiony blaskiem i obfitością świateł dokoła. Ziemia, usłana suchemi i żółtemi igłami, świeciła się tam nawet, gdzie rozpływały się po niej drżące, plamiste cienie. Ścieżka wyprowadziła mnie na drogę. Czarne, głęboko wyżłobione koleje posypane były liśćmi brzóz: ich barwa żółta była tak świeżą, delikatną i nieco bladą, że zdawało mi się, iż w tem miejscu otrząśnięto listki z całych bukietów żółtej róży. Drzewa były nieruchome i liście nie drżały, słyszeć się tylko dawał gwar cichy i nieustanny z coraz to nowych szmerów i szeptów złożony, zdradzający życie leśnych mieszkańców. Wysoko, u szczytu brzozy zachwiała się lekko gałązka: przerzedzone liście nie zasłaniały sojki, która się jej czepiła, poruszając czarnym ogonem, jak wachlarzem i kołysząc w podmuchach wiatru śnieżno białe piórka. W gęstym pęku sosnowych igieł ukryta trzepotała się, opodal druga sojka. Czyjś mały niewidzialny dzióbek plądrował niewidzialną szyszkę, a inny o coś stukał, szukając czegoś. Rzesza małych ptasząt przelatywała bez szumu z drzewa na drzewa,

nawołując się cichemi: tsy, tsy. Nagle ze szczytu starej sosny dzięcioł zakrzyczał krótkim, urywanym głosem, w zaroślach przeraźliwie wrzasnęła sojka, kos wystraszony ze świstem, jak strzała, wyleciał z zarośli; coś dokoła latało, ukrywało się, trącało gałęźmi i liśćmi, i znów nagle wszystko ucichło, powróciły dawne szmery ciche i spokojne: odgłosy wytrwałej pracy niewidzialnego ptasiego drobiazgu i szepczące nawoływania: tsy, tsy.

Doszedłem do skraju lasu. Przedemną była obszerna równina, którą dawniej las pokrywał. Po prawej i lewej jej stronie widać trzy odpowiadające sobie i coraz to więcej oddalone występy lasu, które wydawały się końcami trzech rozerwanych pierścieni. Wyglądało to tak, jak gdyby las usiłował równinę opasać i zamknąć, a ona rozlewając się coraz szerzej gładką powierzchnią pól i łąk pod widnokręgiem wolną się już zdawała. Tam, za jaskrawo bielejącemi pasmami ściernisk, majaczyły we mgle zarysy wsi; w niebieskawej kępie drzew białą plamką rozpływała się cerkiew. Lecz poza tem jeszcze, sięgając nizko nad widnokręgiem zgęszczonej mgły, biegło wąziutkie, nieprzerwane pa-

semko, bardziej sine, niż nawisłe nad niem chmurne pasma. Był to najdalej wysunięty łańcuch lasu: równina znajdowała się śród lasów.

Kilka ocalałych sosen, stojących samotnie, jak rozrzucone pod obozem placówki, strzegło równiny pod lasem; u stóp ich nawalone jedne na drugie piętrzyły się wielkie karcze sosnowych pni, podobne do kapiteli rozbitych kolumn. Usiadłem na jednym z nich, u podnóża wielkiej sosny, a cień jej leżał przedemną w całej długości, lekko łamiąc się na czerwieniejącej gliną roli. Na prawo, owsiane ściernisko, sięgające aż do kolistego wgłębienia lasu, rozlewało po ziemi płomieniste barwy; z lewej strony i w głębi przede mną, zmieniały się kolejno pasma i płaty jasnoszarej roli z białawemi i jasnożółtemi ścierniskami.

Powietrze, w pobliżu i nizko, drżało lekko i falowało, burząc nieruchomość powierzchni i linii przedmiotów, za to w dalszym występie lasu, zaledwie osłoniętym bladoniebieską mgłą, drzewa przerzedzone na skraju rysowały się w spokojnej czystości linii. Ciszę mąciła jedna, gdzieś z boku, niespokojnie szeleszcząca gałęź brzozy; ludzkie ży-

cie zdradzał tylko kureń pastuchów, z prawej strony, pod lasem: ze szczytu jego spokojnie i wolno wypływały kłęby dymu, które niebieszczyły ciemne wgłębienia między drzewami.

Cień wielkiego ptaka szybko przemknął po ziemi i zlał się z cieniem mej sosny. Podniosłem głowę: ze szczytu drzewa zerwał się jastrząb i nie śpiesząc się, ciężko robiąc skrzydłami, połyskującemi srebrem u spodu, zawrócił do lasu i wolno wpłynął między wierzchy sosen.

Z daleka, od krańców równiny, raz — potem drugi, trzeci — odbił się w moim słuchu niewyraźny, milknący odgłos kościelnego dzwonu.

Ludzie święcili pierwszy dzień jesieni.

II.

Potęga życia rozrachowanego nie na dnie i lata, lecz na szereg wieków, przemawia imponująco do mnie w lesie, w starej i głuchej puszczy, o której powstaniu nikt mi nic powiedzieć nie może, zarówno jak i końca jej niktby nie przewidział, gdyby jej nie zabiła ręka człowieka. Człowiek nie lubi tego, co mu przypomina wieczność, co jest owocem pracy tak długich okresów czasu, iż ludzkie życie nie może dla nich służyć za jednostkę miary. To też wnętrze boru przygniata go; wiecznie głucho i jednostajnie szumiące wierzchy prastarych sosen ciskają mu z tłumionym porywem gniewu takie słowa: »Jesteś mały, nędzny, ty, co żyjesz zaledwie tyle, co ta młoda sosna, będąca dzieckiem między nami, a my rachujemy życie wiekami i nie możemy spamiętać szeregu pokoleń, które nas poprzedziły! I żyłybyśmy wiecznie, gdyż

w nas jest siła niespożyta: tysiące ptactwa wydziera nam co rok miliony nasion, lecz dość ich jeszcze otrzymuje ziemia, by ród nasz nie zginął nigdy, gdyby — nie ty!... Burze, które nas łamią i obalają, pioruny, które rozniecają ogień we wnętrzu naszem, nie niszczą nas tak, jak ty! Czemu to czynisz? Czemu to czynisz?«

Raz jeden, spędziłem długich godzin kilka, milczący i nieruchomy, u podnóża sosny. Chwytałem uchem tysiączne głosy lasu, starając się zrozumieć, co każdy oznacza. Powoli uczułem, jak w duszy mojej rodzi się dziwny niepokój; pochyliłem głowę, jak gdyby ciężar ją tłoczył, lecz spływał na nią tylko, od szczytu mej sosny, szum jej gniewliwy; a i ten, zwrócony do mnie, spokojnego i nieczyniącego krzywdy gościa, stopniowo łagodnym się stawał, i zdało mi się, że w nim słyszę przyjacielską gwarę starego, dobrodusznego człowieka: »Patrzysz i dziwisz się, czemu u nas tak cicho a spokojnie i nie możesz zrozumieć, jak można wieki przeżyć w milczeniu i nieruchomości! A ja stary — mówię ci: czego chcieć więcej, czego chcieć? My, sosny, lubimy światło, słońcu — naszymi szczytami prosto w oczy patrzeć; cie-

pło lubimy i powietrze i rosę ranną, lubimy zasnąć w śnieżnym puchu! A wszystko to mamy, wszystko to, co roku się powtarza! Nie trzeba się tylko śpieszyć, i poco? czy nie lepiej po kropli sączyć rozkosze życia? Nektaru — starczy na wieki. Patrz! my zrzucamy nasze igły, a inne drzewa — liście, wiatr utrąca nam suche konary i ścina masę drobnych gałązek, łamie słabe drzewiny, i pnie przegniłe obala, trawy i zielska gniją, a ziemia, powoli lecz nieustannie użyźnia się, i wzrost nasz odbywa się powoli i nieustannie! Nie śpieszymy się, i w tem leży nasza siła; stąd cisza i spokój u nas! Chcesz? Możemy cię przygarnąć, jak przygarniamy tysiące żywych istot, którym nie trzeba nic więcej nadto, co znajdują pod ochroną naszych sklepień; pozwalamy się im rabować i niszczyć, oddajemy im nasiona, dźwigamy ich gniazda, dajemy im ryć nory u stóp naszych, między korzeniami; ukrywamy je, zatrzymujemy promienie słońca by ich nie paliły; tłumimy mrożące porywy wichrów zimy. Niech żyją, niech głosy ich zlewają się z naszym szumem, który jest nieco smutny! Namyśl się i ty, a może żyć będziesz tak długo jak my; może, jak my, doczekasz się śmierci

tak powolnej, iż wcale się jej nie czuje i niepostrzeżenie oddaje się życie sobie podobnym«.

Wysoko, nad moją głową poczęły się długie szepty starców leśnych o tem, jak dobrze jest żyć i umierać, nie śpiesząc się. Gwara ich z łagodnej stawała się chwilami gniewną: z ust ich, które pewnie były drżące i zwiędłe, płynęły ciche groźby rzucane, może temu, ktoby się ośmielił naruszyć tę, od wieków ustanowioną równowagę życia, powolność ruchów, będącą podstawą długowieczności! Szumy, szepty, starcze groźby — wszystko to ciężkim kamieniem kładło się na moją duszę, śmiertelnie znużoną: nigdy żaden najniesforniejszy zgiełk życia nie umęczył mnie tak, jak te echa bezmiernej nieruchomości i spokoju obojętnego. Czułem jak nagle w głębi piersi mojej budzi się wielka tkliwość, przywiązanie niezmierne do wszystkich, choćby najdrobniejszych, lecz czysto ludzkich spraw i interesów, do wszystkich rzeczy i stosunków między niemi istniejących tylko w stworzonym przez nas świecie i nam tylko drogich, a nieskończenie obojętnych tym sosnom, dębom i rzeszy stworzeń, zaludniających wnętrze leśnej puszczy.

I nagląca, gwałtowna potrzeba ujrzenia nad sobą niezasłonionego nieba, przed sobą przestrzeni dalekiej i wolnej, mieszkań ludzkich, usłyszenia głosu ludzkiego — kazała mi uciekać z pod tych dusznych sklepień. W tej ucieczce każdy szmer, za mną i koło mnie, wydawał mi się podejrzanym, i niepokoił mnie, i męczył; zdawało mi się, że las nigdy się nie skończy, że jego senna nieruchomość ubezwładnia moje członki!

III.

Jaka cisza!...

Jest-że ona wyrazem snu, czy echem śmierci, czy też uświęceniem jakiejś uroczystości, tak niesłychanej i wielkiej, iż należy przywitać ją milczeniem?

W mojej duszy coś przeciw milczeniu burzy się, i coś szemrze, lecz powoli i ona mi milknie spojona czarem jakimś; zostaje tylko niepokój cichy i pełen słodyczy, niepokój oczekiwania.

Słońce, przed zgaśnięciem, uczepiło się szczytu sosny, a gromada brzóz dokoła niej w kitach swoich plątała jego smugi i złociła się barwą starego złota. Pod niemi — ścierniskiem — biegły powoli długie cienie ku ścianie lasu, oblanej jeszcze światłem, a gdy po niej przebiegły — słońca nie było już. Został blask na omglonym błękicie stropu

i powódź rozlanych delikatnie barw różowych na zachodzie. W tchnieniu wieczoru gasły na niebie blaski, a na ziemię spłynęły lekkie mroki i otuliły las, ścierając barwy jego w jedną szarawą; tylko wielka, płomienista kita brzozy, wzniesiona nad lasem, płonęła jeszcze długo na niebie już szarzejącem.

Jaka cisza! Gdzieś daleko — wóz załomotał na drodze po korzeniach, a echo chwyciło te dźwięki i po lesie je rozniosło i ucho moje łowiło je chciwie, póki nie umilkły.

Na co czekam i czego się spodziewam? Jaką zagadką przemawia do mnie prostota zjawisk przyrody, układających się w związki przyczyn i następstw, jedne wiecznie i niezmienne? Czemu mi się zdaje, że ich łańcuchy skuwają czyjeś myśli tęskne, nadzieje, pragnienia?... Czy na nic nie czekają te gromady drzew ustawione przedemną, wzdłuż drogi, i ramieniem nocy stulone w jedną, czarną masę? Patrzę na nie i widzę je tak nieruchome i bez głosu, jak tłum ludzki, gdy się spodziewa, iż za chwilę spełni się coś wielkiego, wielkiego, i gdy mu oczekiwanie dech zapiera! Więc pytałem się nieba, na co czeka ziemia usypiająca? Tam — leżał

cień tylko szary i płonęły światełka drobne, blade, lecz powoli pod stropem rozświetlać się zaczęło, jakby skądś blask błękitny upadł; na ziemi cienie zbladły, ustępowały z jednych miejsc, w kupy zbiły się w innych, i księżyc już przezierał między szczytami sosen. Za chwilę płynął nad niemi.

Czułem, iż coś cicho-uroczystego spełnia się koło mnie, nie wiedziałem jednak co i nie pytałem: zbyt dobrze mi było w tej chwili. W głowie błąkała mi się ta myśl tylko, iż uczucie jakiego doświadczam, zawdzięczam światłu. Było ono miłe, łagodne, spływało na ziemię w ruchach drobnej fali, niedostrzegalnej, lekkiej nieporównanie — dotknięcie jej czułem na twarzy; promienie jego na wszystkiem kładły się miękko i pieszczotliwie, i martwe rzeczy nawet pod tą pieszczotą nieuchwytną zaczynały drżeć we wnętrzu swem i łkać z rozkoszy. Usłyszałem jak pękła nagle milcząca powaga lasu: niedaleko, w gałązce brzozy drgnął liść i trącił inne, a zaraz potem jakieś dziecięce, naiwne głosy, nie hamując się dłużej, szeptać poczęły: »O! patrzcie! patrzcie! patrzcie!...«, lecz od lasu głos czyjś zgromił je: »Sza, sza, sza!...« I znów było cicho, a po chwili w innem

miejscu szmer się zrodził, tak lekki, jak gdy z dłoni piasek się sypie, i ucho moje zaledwie uchwycić go mogło: zdało mi się, iż to maleńkie istotki jakieś trącają się ostrożnie skrzydełkami, i stąd szmer ten. Wtem, w głębi lasu samej, daleko — daleko od miejsca, gdziem był, ktoś westchnął tak długo i boleśnie, że przysiągłbym, iż jest to cichy jęk, wygnany wzruszeniem z piersi olbrzyma. Powoli biegło lasem westchnienie to, na drzewa tchnąc, przelewając się pod niemi, odchodząc dalej coraz i dalej, aż na krańcach — ucichło.

W moich piersiach odbiło się ono — nie wiem czemu — echem smutnem i w tchnieniu jego rozwiały się — jak opary ranne nad łąką — tkanki złudzeń, w które myśl moja i zmysły się uplotły.

Noc już tylko widziałem, z księżycem wzbijającym się coraz wyżej. Za srebrzystym szlakiem drogi w gromadach ciemnych przeglądały już drzewa oddzielne; biały komin i strzecha chaty uśpionej pod lasem, z mroków się otrząsły; dokoła nic czarnego nie było, na cienie odblask błękitny padał. Wszedłem pod sklepienia drzew: mrok tu był,

niby w świątyni pełnej dymów z kadzideł; i tu dymy takie wydały się być zawieszonemi na kiściach iglastych, lecz były bez woni. Między szczytami sosen niektóre tylko srebrzyły się w świetle, w gęstwinie pni na niektóre tylko blask padał, i na ziemi gdzieniegdzie tylko leżały płaty i pasma posrebrzone; lecz, idąc, spostrzegałem niespodzianie tuż nad głową, czy z boku, gałązkę z listkami kilkoma lub igieł kiścią, wysuniętą z mroku na światło i przez księżyc całowaną — samą jedną. Bywa tak czasem i w kościele, gdy w zmierzchu wieczornym jedna tylko świeca płonie, a z cieniów kołyszących się po ścianach tu i ówdzie występuje gzems złocony lub biała ręka posągu — sama jedna.

Noc tymczasem biegła ku brzaskom dnia, a las usnął tak cicho, jak człowiek, gdy po wzruszeniu wielkiem pierwszy sen go zmorzy; spał, a chłód jesieni wilgotny nie budził go, i ja się już nie pytałem, czemu wzdychał przed chwilą, co święcił lub co opłakiwał... Tak młodość daremnie zapytuje starości, czemu wzrok jej mglisty jest, smutny i tajemniczy i czemu bieży tam, gdzie ciemność rani oko, w próżni pierś się ściska a cisza

słuch męczy, gdzie bezmyślne i senne płyną bez szumu ciał bryły, i poco tam zabiega, gdzie niema — nic? Tak pyta młodość a starość milczy, i w milczeniu do snu się układa wiecznego.

IV.

Lubię ranki późnej jesieni, kiedy słońce długo mgły pokonać nie może i rosy osuszyć. Po leśnych polanach unoszą się z ziemi leciutkie, jak oddech, resztki rozwiewne oparów, które w górę ulatują i w potokach światła wesołego roztapiają się powoli. Między drzewami mgła ujmuje promienie słoneczne w snopy i smugi. Wszystko — pod sklepieniami gołych gałęzi — mokre, i w ciszy, bezmiernym spokoju i nieruchomości lasu słychać tylko, jak krople wody ze szczytów drzew kąpiących się w słońcu, spadają na ziemię. Mokry opad liści i igliwia wydaje ciężki, dyszący zapach. Na smutnych, suchych łodyżkach, liściach zwiędłych, gałązkach obnażonych — słońce rozpala srebrne połyski, świateł roje i iskier, migocących w rozlanych kroplach wody.

...Koło południa poczęło być prawie go-

rąco! Stare, wielkie, obumarłe muchy, które w kątkach okiennych framug zebrały się w gromadki, dla wspólnej śmierci — odżyły w tem cieple niespodzianem i frunęły na ganek, gdzie najwięcej było światła i ciepła. Z brzękiem ociężałych skrzydeł, przelatywały ze słupa na słup, nadstawiając grzbiety promieniom słońca, których pieszczota przypominała im coś z letnich niepowrotnych wrażeń ich młodości.

Na drodze do lasu przyłączył się do mnie Maksymko i biegnąc szeleścił bosemi, czarnemi stopkami w kupach suchego liścia; był bez czapki, i słońce złociło jego jasne, nastroszone włosy, jak ostatnie liście brzóz. W lesie dziwna mieszanina drzew nagich i takich, które, zdaje się, iż nie straciły jednego liścia, obok osiki, podnoszącej w górę obnażone zupełnie gałęzie, brzoza stała — od dołu do góry, cała obsypana złocistym puchem, a przy nich dąb z liśćmi suchymi i zczerniałymi.

Szedłem tak lekko i cicho, iż zdawało mi się, że zaledwie trącam nogą wilgotne liście i mchy; czułem jak ogarnia mnie powoli wrażenie miłe i znajome dobrze, jakie sprowadzają piękne dni jesieni. Wyszliśmy na

skraj lasu i poszli wzdłuż ściany jego, wyłamanej kapryśnie, przykryci jej cieniem, wielkimi śladami znacząc przejście nasze na trawie przytłoczonej do ziemi ciężarem srebrnej rosy; tak idąc, przecinaliśmy łączki mokre, wrzynające się w las, podobne do małych, okrągłych, zacisznych zatok lub omijaliśmy występy lasu, zaokrąglone przylądki, oblane dokoła ścielącem się równo morzem zaroszonych traw. Przed nami, wesołe piosnki świszcząc, ulatywało stado drozdów.

Mały, piaszczysty wzgórek po lasem zżółkły pod nakryciem zeschłych mchów i nagrzany w słońcu — przywabił nas. Maksymko na ziemi się rozciągnął, na wznak, twarzą do słońca zwrócony, usiłował przymrużonemi oczami w jego wspaniałe oblicze patrzeć; ja — na pniu obalonym siadłem. Obydwaj piliśmy chciwie czar ciepła. Jest coś w tych spóźnionych echach lata, co tkliwość taką budzi, jak wspomnienie pieszczoty kobiecej lub uśmiech na starej, przyjacielskiej twarzy. Ciepło — zdaje się coraz to powiększać, przenika wewnątrz, rozlewa się po członkach, upaja lekko, jak wino, dając poczucie zupełnego dobrobytu. Czy nie doświadcza tego samego ta równina, zamknięta w pierścieniu

lasów i grzejąca na słońcu swój wielki i stary grzbiet z łąkami, ścierniami i stogami siana? Czy zbudzone ze snu muchy, i rozweselone drozdy, i równina, już do snu zimowego ułożona, i to dziecko chłopskie, spojone jasnością słoneczną i usypiać się zdające, tu obok mnie, i ja sam, gdy oczy przymykam — czy my wszyscy nie marzymy przez jedną krótką chwilę, iż jest lato jeszcze dobroczynne, wesołe, śmiejące się? Ja pierwszy z marzenia tego się ocknąłem, dokoła się rozglądając: to nie lato mgłą owiało ścianę lasu i nie ono po szczytach jej złote smugi rozsypało, podobne do odblasku pożaru lub zachodu słońca; nie lato pod czystym stropem nieba zgęściło nad widnokręgiem mgły i nie ono z nich zwija małe kłębki chmur, nie ono starło jaskrawe barwy z łąk i nie ono — nad moją głową — trąca gałęzie sosny smutnym poświstem wiatru!

...Na jaskrawym błękicie ujrzałem nagle połyskującą — nić srebrną. Płynęła ku mnie z wysoka, drżąc cała, i wyginając się lekko. Tak niezwykle długą była i tak świetną, iż trąciłem Maksymka i pokazałem mu ją; zdziwiony się wydał, a gdy rozglądając się, dojrzał wiele takich nici białych z kłębkami

u końca, rozproszonych w powietrzu, wleczonych wiatrem, czepiających się szczytów drzew i pochwyconych nizko przez krzaki i trawy, zapytał się niespodziewanie: »A czy to nie z chmury?« Wówczas pobiegłem wzrokiem w kierunku jego wejrzenia i dostrzegłem nad lasem długą, wyciągniętą równo, cienką jak strzała, srebrzystą chmurkę: w oczach naszych stawała się ona coraz cieńszą i krótszą, rozpłynęła się — znikła...

V.

Był dzień chmurny i wietrzny. Niespokojne porywy wiatru, wzmagające się chwilami, to słabnące znów, nie pozwalały mglistym i wodnym oponom, zaścielającym niebo i nad widnokręgiem zawieszonym — ułożyć się w stałe zarysy. Z przymusem niechętnym upędzały się za sobą wielkie, postrzępione szmaty chmur blado-szarych, ich warstwy to grubiały tak iż wszystko dokoła ciemniało w lekkim, chłodnym mroku, poprzedzającym deszcz, to przerzedzały się i — u zenitu — tylko mgłą białawą przysłaniały błękit, a wówczas na ziemię blask się zlewał jednostajny i biały. Głębia równiny za lasem usłana była nizko mgłą białą, z której wynurzała się niedaleka, oddzielona od lasu kępa brzóz, zlewających się w jedną ciemną i ponurą plamę; dalej, tu i ówdzie, stóg czerniał, lub odległe, z mgły wychylone szczyty pojedynczych sosen. A na-

gle mgła podnosiła się, uchodziła gdzieś w głąb, kraniec równiny ciemniał, pasmem prawie czarnem rozwijał się pod niebem las daleki, a na brzozowej kępie kładł się czerwonawy odblask z resztek ocalałych liści.

Deszcz doścignął mnie na skraju lasu. Dziwnym się mi wydał świszczący szum jego między nagiemi drzewami, nie mogącemi już nikogo osłonić przed ulewą. Ukryłem się w kureniu, dawno opuszczonym przez pastuchów; jeden bok jego był rozwalony, deski porozsuwane i kupą rzucone na ziemię, obok; z tej strony, jak w ramie, miałem przed oczami niezmiernie prosty obrazek: gromadę młodych, smukłych sosen, które z lasu wybiegły, klinem uszykowane; z za pni ich rzadkich przeglądał stóg siana, ogrodzony, łąka, i znów pojedyncze gromadki sosen pod lasem. W kureniu — wszystko jeszcze nosiło ślady ludzkiego życia, niewiele wymagającego; po bokach — deski, zaciśnięte między wbite w ziemię kołki, obejmowały posłania z siana, które nosiły ślady, odciśnięte ciężarem ludzkiego ciała; na kupie popiołu — pośrodku — leżało kilka głowni, które, zdało się, tylko co tlić się przestały. Jakby od resztek żaru zgaszonego ogniska

przejmowało mnie powoli łagodne ciepło, i z niem głęboki, dobroczynny spokój zapanował w myślach moich, a wszystko, com czuł, spłynęło w jedno ciche, jakby tłumione uczucie zdrowia. Myśl nie zasnęła i nie ociężała, lecz popłynęła jednem, gładkiem i spokojnem łożyskiem, w którem fale jej tak bez szumu się toczyły i niedostrzegalnie, iż wydawały mi się nieruchomą powierzchnią. Siedziałem tak długo, i powoli, w zakątku jakimś mej głowy ożyło dawne bardzo, wpół dziecinne marzenie. Oto — poczęło mi się zdawać, iż do szałasu, w którym siedzę, powracają ludzie, którym on się z prawa należy; szybko naprawiają rozwalony bok kurenia; rozpalają ognisko z drobnych, trzeszczących i sypiących złote iskry gałązek sośniny; zapach dymu rozchodzi się, cienkie, żółte płomyki zlewają się w sploty ogniste; blask czerwonawy rumieni wnętrze kureniu i twarze ciemne, surowe, ludzi leżących i siedzących wkoło ogniska. Milczą i nie patrzą na mnie, lecz gdy odchodzą, i ja odchodzę z nimi i od chwili tej życie moje należy do nich niepodzielnie. Wtem — marzenie staje się rzeczywistością: odgłos ciężkich kroków wielu, wielu ludzi wyraźnie mnie dochodzi, wzmaga się i rośnie

gwar ich głosów coraz bliższy mego ukrycia, ziemia drży i z nią ściany kurenia! Podniosłem głowę: tabun koni, pędzony przez dwóch chłopskich wyrostków tylko mignął mi w oczach. Deszcz już nie padał — wyszedłszy z ukrycia patrzałem długo na ciemne sylwetki koni znikających w białej mgle, znów nizko wyścielającej równinę. Pod lasem — chłopak mały pędził krowy, jego krzyk przeciągły zamierał niedaleko płaczliwem echem.

VI.

Las dokoła mnie umiera razem z jesienią i oboje wołają na mnie: »Uciekaj między żywych, jeśli nie chcesz zostać z umarłymi«. Biedny las! zawadzał komuś, więc go zabijają. Setki rąk uderza weń tak zajadle, jakby życie ludzkie zależało od tego, by on istnieć przestał. Najsmutniejszy z dźwięków leśnych — stuk siekiery, nieregularny, urywany, to cichy, to głośny, dochodzi mnie zewsząd, a niekiedy jękiem stłumionym po bezlistnej, płaczącej deszczem puszczy płynie i przelewa się ponury odgłos trzasku i głuchy huk po nim. Dyszące zdrowiem i potęgą życia starce kładą się jeden za drugim; łamiąc i przyciskając swe konary do ziemi — całują ją, obejmują, żegnają. Czasem, który z nich, padając, zatrzyma się i szczyt swój oprze na silnym, niepodciętym pniu sąsiada, wówczas, do człowieka podobny, zdaje się, iż

pochylił głowę na pierś brata i płacze, żali się i żegna go czule. Biedne, oszukane starce! gdzież wasze obietnice długiego życia i powolnej śmierci?

I ostatni z dni jesiennych — zamiera!

Z rana na chwilę wyjrzało słońce i uśmiechnęło się tak łzawo i rzewnie, jak umieją tylko konający. Potem chmury zaciągnęły oponę na strop nieba, i spadł śnieg. Białe płatki sypały się wolno i wytrwale jakby rzec chciały: »Nie śpieszno nam, jest nas wiele tam w górze, spadać będziemy tak długo, ile trzeba będzie, by senną ziemię grubą zasłoną otulić«. I tkały tę płachtę dla ziemi, tkały z uporem, nie zrażając się, iż miliony ich topnieją za dotknięciem grzbietu śpiącej; lekkie i nieuchwytne czepiały się jedne drugich, na sobie się opierały, przejmując się wzajem chłodem — powoli więc rosła ich warstwa tak lekka, iż zdało się, że dmuchnięcie wiatru w pył ją obróci i rozwieje. Przed wieczorem — wszystko, na czem śnieżynki oprzeć się mogły, było opuszone i białe. Nastąpiła cisza. Las stał nieruchomy, biały, uroczysty. Niekiedy z gałęzi która — w rozmarzeniu sennem — drgnęła, zsypując pyły śnieżne z lekkim, jak westchnienie szmerem.

W mojej piersi coś żaliło się, coś płakało, coś kędyś mnie pociągało; może las do ucha mi szeptał pokusę: »jak słodko jest — jak słodko jest w śnieżnym puchu — białym, chłodnym miękkim — usnąć!« Na zawsze? — pytałem roztęskniony.

* * *

Las wnet zniknie, uwalniając z ostatnich więzów równinę i dając rozlać się jej bezgraniczną przestrzenią pól i łąk. Więc żegnam — z prostem i szczerem wzruszeniem — moją ustroń leśną, której nie zobaczę już nigdy taką, jaką była. Lubiłem wnętrze sosnowego boru za prostotę barw, i podobnie lubiłem niedawne dni jesieni za ich cichy spokój, za łagodny smutek, który wieje od nich w chmurną niepogodę, za oględną, stłumioną radość, jaką uśmiechają się w dnie słońca i ciepła, za to, iż one to są skromnem i właściwem tłem dla barwnego obrazu ludzkiego życia lub cichym akordem dla najpiękniejszej z pieśni, pieśni radości i smutków, namiętnych porywów, szlachetnych uniesień, rozpaczliwych zwątpień — człowieka!

DYAMENT

DWIE PRZYPOWIEŚCI

W mojej piersi coś łaliło się, coś płakało, coś jakiś mnie pociągało; może las do ucha mi szeptał pokusę: »jak słodko jest — jak słodko jest w śnieżnym puchu — białym, chłodnym miękkim — usnąć!« Na zawsze? — pytałem rozczulony.

* * *

Las [illegible] milknie, uwalniając z ostatnich więzów równinę i [illegible] się jej bezgraniczną przestrzenią pól i łąk. Więc żegnam — z pros[illegible] pozdrowieniem — moją ustroń leśną, której nie zobaczę już nigdy taką, jaką była. Lubiłem wnętrze sosnowego boru za prostotę barw, i podobnie lubiłem smętne dni jesieni za ich cichy spokój, za łagodny smutek, który wieje od nich w chmurną niepogodę, za oględną, stłumioną radość, jaką uśmiechają się w dnie słońca i ciepła, za to, iż one to są skromnym i właściwym tłem dla barwnego obrazu ludzkiego życia lub cichym akordem dla najpiękniejszej z pieśni, pieśni radości i smutków, namiętnych porywów, szlachetnych uniesień, rozpaczliwych zwątpień — człowieka!

I.

Gościńcem szarym, zapylonym szła pod słoneczną spiekotę gromada podróżnych. Z pod nóg ociężałych ze zmęczenia kurz się wzbijał ku górze, a wiatr, podchwytując go, w tuman urabiał żółtawy i to owijał gorącymi kłębami idących, to roztrząsał im chmurę nad głowami, zasypując oczy i usta gryzącym, gorzkim pyłem.

Z daleka szli. U jednych — a tych było niewielu — widniała jeszcze ochota i raźność pokonywająca znużenie, inni — ciągnęli za tymi obojętni, jakby swym losom poddani i na trudy wędrówki nieczuli; byli zaś i tacy, w oczach których sarkanie czytałeś na wiatr, na pył, na znój, na pragnienie i drogę daleką. Ci raz po raz oczami biegli ku łąkom, które tuż przy gościńcu poczynając się niezmierzonym legły kobiercem aż ku skrajowi opartego na ziemi stropu niebieskiego. Ah,

tam — to pięknie, tam inaczej — inaczej niż na gościńcu. Żar słoneczny tam łagodniał w świeżości silnej bezbrzeżnego traw morza, tylko blask ostawał się od słońca i na szmaragdowej, wiatrem rozkołysanej fali srebrną mienił się łuską. Tu i wiatr swawolą na gościńcu zmęczony, kurz otrzepawszy na wędrowców biegł czysty, bez pyłku, tarzał się w trawie, pieszczotliwie tchnął na kępy kwiecia, ucichał i znów zrywał się jakby z lekkim śmiechem od nadmiaru rozkoszy i uciechy. Tu był on i wonny i miły, a tam tak gorzki i dokuczliwy.

Z podróżnych nikt jednak nie szukał na łące odpoczynku; jedni drugim wskazywali rozstawione brzegiem gościńca słupy, a na nich tablice z przestrogą: »Na łąkę nie zbaczać« — albo: »Tu chodzić nie wolno« — i szli dalej — jedni zawsze ochotnie i raźno, drudzy z obojętną dla losów uległością, inni z żalem i utajoną w oczach tęsknotą, lecącą precz od gościńca ku barwnym łąk obszarom.

A wtem zoczyli człowieka spokojnie po łące idącego, który nie wędrowcem im się wydał — choć w jedną z niemi dążył stronę— ale raczej panem tych włości. Hardość zeń

biła światu, stąpał swobodnie a niespiesznie, w oczach miał ostrość i zuchwałość orlego wejrzenia.

Mylili się jednak. Był to jak oni wędrowiec, lecz prawdziwie wyglądał tak, jakby nie tylko łąki te, ale świat cały a przynajmniej wszystko co w świecie jest piękne — jego było. Na czole miał dumę napisaną i przeznaczenie niezwykłe a wielkie; lotne jego spojrzenia ślizgały się tylko po rozlanem dokoła morzu barw żywych i biegły raz po raz w dal nawykłe cel jakiś ścigać dla innych niewidoczny; może ulatujący w niezmierzonej głębi stropu niebieskiego. Kształtne nozdrza jego drżały lekko, pojąc się świeżością powiewów z nad łąki.

I jeszcze jeden ukazał się człowiek w niewielkiem od gościńca oddaleniu (a to był prawy tej łąki właściciel), przyglądał się on długo, podejrzliwie a niechętnie skupionej na drodze szarej podróżnych gromadce, a potem ze zdziwieniem przeniósł spojrzenia na samotnego wędrowca i gniew niemały w twarzy mu się odbił. Lecz im dłużej i baczniej mierzył tamtego oczyma, tem łacniej złość w nim obudzona przetajała się w pokorę i szacunek.

— To wielki jakiś i w świecie znamienity człowiek być musi — tak myślał.

I z uniżonym ukłonem podszedłszy do nieznajomego, rzecze:

— Panie, chciej okazać mi swą łaskawość i zawsze tę łąkę moją do przechadzki obieraj. Uczyniłem-ci ja wprawdzie przestrogę, by mi jej nie deptano, ale miałem na myśli tamtych jeno — i tu wskazał ręką na gościniec, kędy wzniósł się znów żółty słup kurzu, lecący z szumem złym na pomęczonych ludzi.

A on podróżny, nawet nie wysłuchawszy należycie co ten prawi (małą snać wagę do słów gospodarza przywiązując), skinął jeno głową niedbale i oddalającego się w pokłonach nizkich ani słowem, ani wejrzeniem nie obdarzył.

I szedł dalej.

Skromne a wdzięku pełne kwiatki polne kłaniały się mu główkami barwnemi niby strojnisie wiejskie, zerkające ciekawie i zalotnie na każdego ładnego chłopca, a niektóre słaniały się na wiotkich łodygach także ze znoju omdlewające jak dziewuszki, gdy miłością zmożone same w objęcia już — już paść mają. On zaś pręcikiem w ręku

trzymanym od niechcenia ucinał łebki tym głupiutkim polnym kwiatkom i myślał: »Szczęśliwe jesteście, że los na mojej umieścił was drodze. Gdyby tłum tędy szedł, ginęłybyście straszną śmiercią, pogniecone ciężkim butem prostaka lub niekształtnym łapciem z łyka lipowego«. A one — słodko pachnące — z łezką rosy na więdnącym liczku kładły mu się u nóg wdzięczne, że im daje śmierć poetyczną.

Wtem — na ziemi, wśród kępki wybujałych traw — niby olbrzymia kropla rosy cudnym zajaśniał blaskiem dyament. Duży jak ziarno grochu, prześliczny dyament. On go podniósł, na swej białej położył go dłoni i wyciągnąwszy ją ku słońcu, przyglądał się grze blasków, tryskających z kosztownego kamyka; przyglądał się z tą ciekawością półobojętną, z za której przeziera nuda. Wreszcie szepnął: »Nic nadzwyczajnego — widziałem większe, gdyby był choć taki jak — śliwka...« — i opuścił rękę z kamykiem. Po chwili może o nim zapomniał i może bezwiednie opuściłby go znów w trawę, gdy nagle wzrok jego spotkał utkwione weń spojrzenia podróżnych z gościńca. Oni dawno mu się już przyglądali z podziwem i uwiel-

bieniem, jakiego godna była jego piękna postać.

Chwilę patrzał na ów lud wędrowny, szary od kurzu, prażony słońcem i nieśmiałem objęty milczeniem; lekki uśmiech przewinął się po ustach jego; pełnym wdzięku ruchem wzniósł rękę — machnął i kamyk drogi poleciał w kurzawę gościńca, do tłumu.

Rwetes się tam stał ogromny. Były guzy, błogosławieństwa, klątwy i okrzyki podziwu. W ścisku przewrócono filozofa podeszłego w leciech. Zawiązując uszkodzone sandały, biedak mruczał:

— Dyament mógł się dostać tylko jednemu, a iluż oberwało szturchańce. Dyabli z taką wspaniałomyślnością, olśniewa ona ludzi — ale — któż moje naprawi sandały...

...Odtąd podróżni stracili z oczu samotnego wędrowca. Oni ciągnęli dalej gościńcem, on zaś na przełaj sam sobie wybierał drogę. Może kaprys nim rządził, może tam szedł, kędy rozesłany krajobraz piękny na chwilę go nęcił, a może szukał szlaku zawieść go mającego do przeznaczeń niezwykłych i wielkich.

Spotkali się jednak raz jeszcze.

Równina była jak pustynia, w swej bez-

płodnej nagości posępna a cicha. Ogromna tarcza słońca, w obłok czerwony otulona, staczała się zwolna za krawędź ziemi, ścieląc po niej ostatnie blaski krwawe. W zmartwiałem powietrzu groza zawisła milcząca. I ciche skupiały się tu gromady podróżnych, tu kres gościńców swoich odnajdując.

Nadszedł i on, wędrowiec samotny, a rzuciwszy okiem dokoła, pojął, że dalej się nie idzie. Czuł niezmierne znużenie i nie szukając traw ni kobierców na gołej legł ziemi, wsparł głowę na ręku i oczy swe o orlem wejrzeniu wlepił w tę stronę, skąd przybył. I stało się, że ujrzał całą swą drogę, od życia zarania.

Sen-li to był przykry, czy złudzenia kłamliwe? oczom wiary dać nie chciał, tak małą, tak śmiesznie małą ta droga przebyta teraz mu się wydała. Wszystko na tej drodze zmalało. Próżno upatruje tych niebotycznych szczytów, na które wdarłszy się niegdy, mówił z dumą: »Tu niczyja prócz mojej nie postała stopa« — one stoją tam za nim jako nędzne wzgórza, dla karłów nawet dostępne. Tak, rzeczy zmalały, barwy ich pogasły, dźwięki zamilkły, mgnienie oka starczyło, by

przeszłość wystygła i oblekła się szarzyzną martwoty.

A jednak nie wszystko w życiu było kłamstwem...

Prawdą było, że płakała w niem nieustannie tęsknica ku wysokościom, na które ludzie mali i powszedni ledwie wejrzenia zarzucić śmieją, prawdą było, że w piersiach jego huczały głosy pragnień potężnych i siła jakaś niepokonana pchała go ku Nieznanemu i że on — jak w bajce — siedmiomilowymi stąpał krokami tam, gdzie inni pełzali... Lecz gdzież zdobycze, gdzież owoce życia — czemu śmierć już staje wpoprzek niezziszczonych przeznaczeń jego, które miały być niezwykłe a wielkie?

Nikt mu nie odpowiedział, jeno od słońca niosąc pożegnanie padł nań promień ostatni, dotknął czoła jego, zamigotał w źrenicach, spłynął na lica, zaróżowił wargi i legł smugą złocistą na piersiach. O dziwo. Rozświetliła się głąb jego serca...

Kochał siebie nadewszystko.

II.

Nie łaskawe, chmurami zawleczone niebo mętną zawisło oponą nad krainą ubogą i smutną od wzgórz skalistych i nagich szarych płaszczyzn. Droga słała się w wyżłobieniach kamiennych a miejscami zapadała między złomy skalne, skąd trudne było wyjście.

Tą drogą opoczystą, twardą kroczył człowiek jeden i rozglądał się dokoła z uwagą bystrą i wytężoną. Okolica widocznie nieznaną mu była, ale on — nawykły snać zdawna do wędrówek — trafnie odgadywał przejścia. Nie zwiodły go mgły w załomach i rozpadlinach zdradliwie skłębione, w porę zatrzymywał się przy krawędziach przepastnych, a kręte szczeliny same zda się wskazywały mu kędy iść dogodniej.

A idąc — drogę znaczył to gałązką wrzosu między skały zatkniętą, to z kilku kamieni

ułożonym znakiem, to w miększej opoce naciętym krzyżem. Na szczytach przystawał i patrzał ku dolinie, gdzie w mgle płachtami rozesłanej niewyraźnie szarzał jakiś kłąb, wydłużający się chwilami w węża, który zwolna się rozkręcał, znikał za występami wzgórza i znów się ukazywał, pełzając widocznie szlakiem przez owego człowieka wytkniętym. To była liczna podróżnych gromada — mężczyźni, kobiety, starce, dzieci, zwierzęta juczne i tabor cały, on zaś gromady tej był przewodnikiem.

A był ochoczy. Od nieba chmurnego zacinał deszcz drobny, chłodem przejmujący, wokół pustka i zimne milczenie kamieni — i po nich snujące się tumany, co osłaniają śmierć zaczajoną w czeluściach mrocznych. Samemu tu się znaleźć, to paść jeno i z żałości wypłakać oczy.

Ale on w sobie samym miał źródło radości, ciepła i światła — więc był ochoczy.

I oto — (jak ów wędrowiec poprzedni) i on na drodze swej trafem rzucony znajduje dyament — prześliczny, jak orzech duży, jak gwiazda migoczący dyament, królewskiej godny korony.

Długo podróżny cieszył nim wzrok swój, wreszcie ukrył go starannie w zanadrzu i rozradowaniu folgę dając, snuł obrazy pożytku, jaki przyniesie ten losu dar bogaty. A myślał nie o sobie, jeno o tych, co tam, w ślady jego mozolnie ciągnąc, o twardą opokę stopy nóg zmęczonych kaleczyli.

— Umniejszy się im trudu teraz, a wczasy milszymi będą. Za dyament wielkie otrzyma się pieniądze, więc przykupią zwierzat jucznych i pociągowych, mężczyźni nie będą dźwigali ciężarów, a niewiasty, starce i dzieci wątłych sił nie wyczerpią w pieszej wędrówce; wszyscy posiłek otrzymają lepszy i odzież cieplejszą, a u celu podróży staną z niemałym jeszcze groszem. Trosk im ubędzie i dolę rozwidni wesołość.

Tak marzył.

Dzień uchodził. Pociemniało. Droga poczęła się zesuwać w dolinę, skąd na odwieczerz wołającego dzwonka echo przyniosło dzwonienie. Niebawem skończyły się skały i złomy kamienne, a poczęła się łąka miękko ścielająca niewielką zaciszną dolinę, w głębi której tuliły się u wzgórza skromne siedziby ludzkie i kępą drzew osłoniły kościółek.

To miejsce upodobawszy sobie, obrał je

wędrowiec na nocleg dla podążającej za nim gromadki. Dostrzegł niezamkniętą furtę kościelną i wszedł na wieczorną modlitwę i dla podziękowania Bogu za szczęśliwe wydarzenie.

Ubogi to był kościółek: drewniany, zmurszały, omszony, ze starości dość już wszedł w ziemię i przechylił się w bok, jakby podpory szukając u stojących kołem wiekowych — jak on — dębów. Wewnątrz bieda gospodarzyła z ruiną starości i zaniedbaniem. Po ścianach niegdyś skromnie wybielonych, a dziś bardzo poczerniałych wężowemi smugami sączyła się wilgoć, a w kątach pleśń porastała, robak toczył drzewo ołtarzy, okienka małe pajęczą zasnuły się przędzą.

Ukląkł podróżny przed wielkim ołtarzem, gdzie obraz był Bożej Matki z Dziecięciem. Tu jedyna tliła się czerwonym płomykiem lampka, już dogasająca. Szły od płomyka drżące i nikłe blaski, które ważyły się wśród wieczornych cieni, kładąc się tu i ówdzie nieśmiało, spędzane następującym zewsząd mrokiem. Czasem musnęły obraz, a wtedy klęczący widział niewinną i słodką twarzyczkę Dziecka, które z pod złotej swej korony smutnie i jakby z lękiem wokół patrzało.

I coraz senniej drżał płomyk, czerwone odbłyski coraz rzadziej i coraz niżej się rozsypywały pomęczone i usypiające. A człowiekowi się zdało, że słyszy skargę dziecięcą:

— Zgaśnie to czerwone światełko, a my z Matusią — jak nocka długa — sami ostaniem w ciemnościach.

Tedy sięgnął w zanadrze i dyament, w którym słońce garść niegasnących blasków zaklęło, wyjąwszy, kornie go na ołtarzu złożył szepcąc: »A niechże Ci, Dziecię, przez wszystkie noce świeci, byś się nie lękało«.

Potem wyszedł cicho stąpając, a było mu lekko na sercu.

Nazajutrz, wielu, wielu podróżnych i ludzi z pasterskiej osady zebrało się w kościele na modlitwę, a gdy wieść między nimi poszła o dyamencie, cieszyły się serca czyste, iż w tak ubogiej światyni uczczone tak pięknie jest Dziecię, które od szczęśliwości niebieskiej, świetlanej uchodząc, zestąpiło na ziemską poniewierkę, ku zbawieniu naszemu.

A ów podróżny był już wtedy daleko na przedzie i lekko mu było na sercu bo myślał: »Nie samym chlebem człowiek żyje«.

. . . .

Słyszeliście już pewnie przypowieści te kiedyś, w dzieciństwie może. Aleć są prawdy stare, które przypomnieć sobie i rozważyć powtórnie warto.

SPIS RZECZY.

Słyszeliście już pewnie przypowieści te kiedyś, w dzieciństwie może. Ale są prawdy stare, które przypomnieć sobie i rozważyć powtórnie warto.